Furtka w konstytucji: Czy USA grozi trzecia kadencja?

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje kontrowersje wokół 22. poprawki do Konstytucji USA, która ogranicza możliwość wyboru prezydenta do dwóch kadencji. Autor wskazuje na potencjalną lukę prawną: zakaz dotyczy 'wyboru', ale milczy na temat 'objęcia' urzędu drogą sukcesji lub nominacji. Tekst osadza ten problem w kontekście historycznym, przypominając spory ojców założycieli, takich jak Alexander Hamilton i Thomas Jefferson, o naturę władzy wykonawczej i ryzyko tyranii. Odwołuje się do tradycji zapoczątkowanej przez George'a Washingtona oraz przełomowej prezydentury Franklina D. Roosevelta, która doprowadziła do kodyfikacji ograniczeń. Analiza rzuca światło na współczesne dylematy ustrojowe, badając, czy amerykański system jest odporny na kreatywną interpretację przepisów w obliczu politycznych ambicji.

This article examines the controversy surrounding the 22nd Amendment to the U.S. Constitution, which limits presidential election to two terms. The author points to a potential loophole: the prohibition applies to "election" but is silent on "succession" to office through succession or appointment. The article places this issue in historical context, recalling the debates of Founding Fathers such as Alexander Hamilton and Thomas Jefferson over the nature of executive power and the risk of tyranny. It draws on the tradition established by George Washington and the groundbreaking presidency of Franklin D. Roosevelt, which led to the codification of these limitations. The analysis illuminates contemporary constitutional dilemmas, examining whether the American system is immune to creative interpretation of its provisions in the face of political ambition.

Dwudziesta druga poprawka do Konstytucji USA, wprowadzająca sztywny limit dwóch kadencji prezydenckich, jest powszechnie uznawana za nieprzekraczalną barierę dla personalizacji władzy. Jednak współczesna debata prawna i polityczna ujawnia, że ten

fundament amerykańskiego republikanizmu nie jest tak szczelny, jak sugeruje potoczna intuicja. Artykuł analizuje napięcie między literalnym brzmieniem poprawki, która zakazuje jedynie „wyboru” na trzecią kadencję, a jej głębszym celem ustrojowym, jakim jest zapobieganie zjawisku renty personalnej. Autorzy wskazują na niebezpieczną lukę sukcesyjną, która w skrajnych scenariuszach pozwalałaby byłym prezydentom na powrót do Białego Domu poprzez inne ścieżki konstytucyjne, takie jak urząd wiceprezydenta czy sukcesja ustawowa. Niniejsza analiza stanowi test odporności systemu, badając, czy amerykańska demokracja opiera się na twardych normach, czy jedynie na kruchym obyczaju, który pod wpływem skrajnej polaryzacji zaczyna tracić swoją moc. Tekst stawia tezę, że niejasność zapisu konstytucyjnego, zestawiona z rosnącą ambicją polityczną, tworzy realne zagrożenie dla stabilności państwa, wymagające pilnego doprecyzowania przepisów, zanim teoretyczne luki staną się narzędziem realnej erozji instytucjonalnej.

SŁOWA KLUCZOWE

22. poprawka | Konstytucja USA | trzecia kadencja | luka sukcesyjna | sukcesja prezydencka | rotacja władzy | Alexander Hamilton | Thomas Jefferson | Franklin D. Roosevelt | George Washington | limit kadencji | reeligibilność | republikański etos | systemowa dwoistość | renta personalna

Między literą prawa a duchem republiki: Czy 22. poprawka ma lukę?

Istnieją w prawie konstytucyjnym takie miejsca, w których jedno słowo waży więcej niż cała orkiestra komentarzy, a precyzja zapisu staje się jedyną barierą przed chaosem interpretacyjnym. Dwudziesta druga poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, czyli przepis konstytucyjny z 1951 roku ograniczający możliwość wyboru na urząd prezydenta do dwóch kadencji, stanowi właśnie taki fundament republikańskiej rotacji władzy. Jej rdzeń brzmi pozornie prosto i nie pozostawia pola do domysłów: nikt nie może zostać wybrany na urząd prezydenta więcej niż dwa razy. A jednak polityka, jak to polityka, uwielbia szczeliny w murze bardziej niż same bramy, szukając w nich przestrzeni dla ambicji, które nie mieszczą się w literze prawa. Stąd dzisiejsza

debata nie dotyczy już wyłącznie tego, czy wolno wygrać trzeci raz, gdyż to pytanie pozostaje tekstowo zamknięte i politycznie rozstrzygnięte. Spór dotyczy czegoś znacznie subtelniejszego i potencjalnie bardziej wybuchowego, co dotyka samej istoty amerykańskiego republikanizmu.

Czy ktoś dwukrotnie wybrany może jeszcze kiedyś urząd objąć, ale nie przez bezpośrednią elekcję, lecz przez sukcesję, nominację albo skomplikowaną procedurę zastępczą? Innymi słowy, czy amerykański porządek konstytucyjny zbudował tamę nie do przebicia, czy tylko postawił symboliczną tabliczkę z napisem „nie wchodzić", którą zręczny prawnik potrafi ominąć? Tekst poprawki odpowiada precyzyjnie na jedno, lecz praktyka ustrojowa z lękiem spogląda na drugie, tworząc zjawisko znane jako luka sukcesyjna. Ta potencjalna niespójność między zakazem wyboru na trzecią kadencję a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji ujawnia głębokie napięcie w tekście ustawy zasadniczej. Doktryna od lat krąży między surowym literalizmem a lękiem przed konstytucyjną akrobatyką, która mogłaby podważyć zaufanie obywateli do trwałości reguł gry. Sama poprawka mówi wszak o byciu wybranym, nie formułuje natomiast osobnego, jednoznacznego zakazu późniejszego sprawowania urzędu każdą inną, pozawyborczą drogą.

To właśnie jest źródło całego napięcia, które sprawia, że współczesny paradygmat naukowy wokół tej kwestii nie jest jednorodny, lecz posiada pewną dominującą, choć niepewną oś. Mainstream konstytucyjny skłania się ku przekonaniu, że sens 22. poprawki polega na zablokowaniu trzeciej prezydentury jako takiej, nawet jeśli tekst nie został napisany z chirurgiczną ostrością. Równocześnie jednak coraz wyraźniej przyznaje się, że na poziomie ścisłej semantyki problem nie jest banalny i wymaga czegoś więcej niż tylko intuicji. National Constitution Center, instytucja daleka od publicystycznego szumu i politycznej stronniczości, wprost odnotowuje debatę o tym, czy dwukrotnie wybrany prezydent mógłby służyć w innej roli konstytucyjnej prowadzącej do przejęcia urzędu. To rozpoznanie jest kluczowe, bo oddziela poważną analizę od sloganowej pewności, która często towarzyszy debatom o władzy. Można uważać takie obejście za ustrojowo niedopuszczalne i zarazem uczciwie przyznać, że tekst pozostawia niebezpieczne pole do merytorycznego sporu.

Napięcie między normą systemową a literalnym brzmieniem stanowi dziś najciekawszy punkt recepcji naukowej, będąc swoistym sprawdzianem dla dojrzałości amerykańskiej demokracji. Nie chodzi o to, by zachwycać się luką, lecz o to, by nie udawać, że jej problem nie istnieje w świecie realnych konfliktów politycznych. Aby zrozumieć wagę tej debaty, trzeba przeprowadzić test odporności systemu, czyli analizę teoretycznych scenariuszy prawnych mającą na celu wykrycie słabych punktów w strukturze państwa. Musimy zatem wrócić do chwili konstytucyjnego początku, kiedy to w Filadelfii w 1787 roku spór o prezydenturę nie był technicznym ćwiczeniem redakcyjnym. Był on dramatyczną próbą wynalezienia władzy wykonawczej, która nie zamieni młodej republiki w monarchię noszoną bez korony, ale z pełnią królewskich prerogatyw. Część

delegatów obawiała się, że brak ograniczeń reelekcji stworzy urząd podatny na skostnienie, klientelizm i niebezpieczne, półmonarchiczne trwanie jednostki przy sterach państwa.

George Mason, jeden z ojców założycieli, ostrzegał przed konstrukcją, która przy braku rotacji może upodobnić się do elekcyjnej monarchii, niszcząc ducha wolności. Z drugiej strony stali ci, którzy widzieli w możliwości ponownego wyboru instrument odpowiedzialności oraz kanał racjonalnego wykorzystania cennego doświadczenia politycznego. W tej logice nie reelekcja była groźna, lecz sztuczne wykluczanie skutecznego przywódcy z dalszej służby narodowi w chwilach próby. Konwencja ostatecznie nie przyjęła konstytucyjnego limitu kadencji, uchwalając czteroletnią kadencję, ale pozostawiając narzędzie ostatecznej oceny samym obywatelom i elektorom. Już tutaj pojawia się praprzyczyna późniejszej amerykańskiej dwuznaczności, która towarzyszy nam do dnia dzisiejszego. Republika chciała silnego prezydenta, ale wstydziła się powiedzieć wprost, jak długo wolno mu pozostać silnym bez ryzyka degeneracji systemu. W tym miejscu do gry wchodzi Alexander Hamilton, polityczny realista ubrany w elegancki strój teoretyka ustroju.

W słynnym Federalist No. 72 Hamilton argumentował z pasją przeciw konstytucyjnemu zakazowi reeligibilności, widząc w nim zagrożenie dla stabilności państwa. Sądził, że możliwość ponownego wyboru wzmacnia motywację do dobrego sprawowania urzędu, ponieważ nadzieja na dalsze zaufanie obywateli działa jak najskuteczniejszy mechanizm dyscyplinujący. W tej logice polityczna ambicja nie była wyłącznie wadą, lecz stanowiła wielką sprężynę do szlachetnych i wybitnych działań na rzecz dobra wspólnego. Hamilton obawiał się też, że prezydent skazany z góry na polityczną emeryturę może łatwiej popaść w korupcyjną kalkulację końca kadencji, szukając korzyści tam, gdzie nie ma już odpowiedzialności. Argument ten brzmi dziś dla wielu cynicznie, ale jego rdzeń jest czysto instytucjonalny, a nie psychologiczny, gdyż dotyczy struktury bodźców. Chodziło o to, by uniknąć zjawiska, jakim jest renta personalna, czyli długoterminowe zawłaszczanie aparatu państwa i sieci lojalności przez jedną osobę u władzy.

Ekonomista powiedziałby zapewne, że zakaz reelekcji radykalnie zmienia funkcję użyteczności urzędującego, przesuwając jego horyzont planowania poza ramy dobra publicznego. Prawnik dodałby, że zmienia to zarazem całą architekturę odpowiedzialności publicznej, czyniąc z prezydenta postać przejściową, niemalże administracyjną. Antropolog zauważyłby natomiast, że wspólnoty polityczne od zawsze próbują ujarzmiać ambicję nie przez jej naiwną likwidację, lecz przez rytuały selekcji i kontroli. Hamilton proponował właśnie taki model: ambicję oswojoną przez procedurę, a nie amputowaną przez moralizatorstwo, które rzadko sprawdza się w praktyce rządzenia. Naprzeciw tej linii stał jednak Jeffersonowski republikanizm nieufności, który w każdym przejawie trwałości władzy widział zarzewie tyranii. Thomas Jefferson rozumiał coś, czego nowoczesne demokracje często nie chcą słyszeć, ulegając urokowi charyzmatycznych liderów.

Wiedział on, że przywiązanie społeczeństwa do jednego lidera może z czasem zamienić zwyczaj wyborczy w psychologiczną dziedziczność, która paraliżuje krytyczne myślenie narodu. Nawyk wyboru przekształca się wtedy w bezrefleksyjny odruch trwania przy osobie, a urząd czteroletni zaczyna zachowywać się jak instytucja dożywotnia, niszcząc tkankę republiki. W tej perspektywie problem nie polega tylko na formalnej możliwości kolejnego zwycięstwa, lecz na powolnej erozji republikańskiego odruchu wymiany elit. Jefferson obawiał się, że wspólnota polityczna może zbyt łatwo zamienić wdzięczność za skuteczność w lenistwo ustrojowe, które jest niezwykle kosztowne. A lenistwo ustrojowe bywa zazwyczaj pierwszym stadium miękkiej oligarchii, gdzie procedury stają się jedynie fasadą dla utrwalonych układów personalnych. Jego intuicja nie była wyłącznie normatywna, lecz miała głęboki charakter socjologiczny, oparty na obserwacji ludzkiej natury.

Znał mechanizm charyzmatycznej fiksacji na długo przed tym, zanim Max Weber opisał go w sposób systemowy i naukowy. Wiedział, że naród z natury lubi opowieść o silnym sterniku znacznie bardziej niż nudną, szarą codzienność sprawnie działających instytucji. Dlatego zasada rotacji nie była dla niego jedynie kaprysem, lecz konieczną szczepionką przeciw politycznemu bałwochwalstwu i kultowi jednostki. W tym miejscu kluczową rolę odgrywa kultura polityczna, czyli zbiór niepisanych zasad, obyczajów i norm wstydu, które regulują zachowania polityczne poza samą literą prawa. To ona przez ponad wiek, od czasów Waszyngtona, powstrzymywała ambitnych graczy przed sięganiem po trzecią kadencję, zanim jeszcze 22. poprawka stała się faktem. Dopiero jej złamanie przez Franklina D. Roosevelta wymusiło na systemie reakcję w postaci twardego zapisu konstytucyjnego, który miał domknąć to, co wcześniej było jedynie obyczajem.

Tu właśnie pojawia się przypowieść, bez której historia 22. poprawki i debata o jej lukach pozostaje niepełna i pozbawiona głębi. Wyobraźmy sobie republikę jako portowe miasto, w którym co kilka lat, zgodnie z odwiecznym rytmem, zmienia się kapitan latarni morskiej. Jedni mówią, że skoro jeden człowiek najlepiej zna zdradliwe prądy i podwodne skały, należy go zostawić na stanowisku na dłużej, bo morze bywa okrutne dla nowicjuszy. Inni odpowiadają z mocą, że właśnie wtedy trzeba najpilniej pilnować zmiany, bo latarnia nie jest prywatną własnością latarnika, lecz wspólnym dobrem chronionym przez prawo. Wszak w ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje, a każda niedopowiedziana litera może stać się szczeliną, przez którą wdziera się sztorm. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, dlatego analiza luki sukcesyjnej nie jest jedynie akademicką zabawą, lecz obowiązkiem wobec przyszłej stabilności państwa.

Od cnoty Washingtona do kryzysu Roosevelta: upadek tabu

Przez długie dziesięciolecia amerykańska republika funkcjonowała w swoistym stanie dwutorowości, godząc milczenie litery prawa z wymownością politycznego obyczaju. Choć twórcy Konstytucji nie wpisali do niej formalnego limitu kadencji, naród przyjął zasadę dwóch kadencji jako nienaruszalny fundament swojej tożsamości. Ta systemowa dwoistość zdawała egzamin tak długo, jak długo polityczni aktorzy uznawali, że pewnych granic przekraczać po prostu nie wypada. Wszak w ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje, a trwałość porządku zależy od siły wstydu pełniącego funkcję niewidzialnego strażnika. Problem pojawia się w momencie, gdy ten strażnik traci czujność, a polityka zaczyna interpretować brak formalnego zakazu jako zaproszenie do brawury.

George Washington nadał owemu poczuciu wstydu rangę najwyższej cnoty narodowej, czyniąc z rezygnacji akt o charakterze niemal sakralnym. Jego decyzja o dobrowolnym ustąpieniu z urzędu po dwóch kadencjach nie wynikała z prawnego przymusu, lecz była aktem samolimityzacji, który z czasem przeobraził się w świecki dogmat republiki. Washington dokonał czegoś znacznie donioślejszego niż tylko zwolnienie miejsca dla następcy – przekształcił on gest odejścia w konstytutywny element republikańskiego etosu. Przekaz płynący z Mount Vernon był surowy, lecz ustrojowo monumentalny: nikt nie jest niezastąpiony, a urząd nigdy nie powinien stapiać się z osobą piastuna. Demokracja ma trwać właśnie dzięki rotacji, która zapobiega petryfikacji władzy i chroni system przed pokusą jedynowładztwa.

Przez niemal półtora wieku ten niepisany obyczaj trwał z siłą, której mogłyby mu pozazdrościć najbardziej precyzyjne paragrafy kodeksów. Ani Madison, ani Monroe, ani nawet charyzmatyczny Jackson nie uznali, że ich osobista popularność daje im prawo do sforsowania progu wyznaczonego przez pierwszego prezydenta. To wieloletnie milczenie praktyki politycznej budowało normę poprzez jej nieustanną powtarzalność, tworząc to, co w języku antropologii politycznej nazwalibyśmy rytuałem ograniczenia charyzmy. Z perspektywy ekonomii instytucjonalnej mielibyśmy tu do czynienia z trwałym nieformalnym kosztem naruszenia reguły, który skutecznie zniechęcał do politycznego hazardu. W języku prawa konstytucyjnego była to klasyczna konwencja ustrojowa, która mimo braku sądowej egzekwowalności posiadała potężną moc legitymizacyjną.

Dopiero przypadek Franklina Delano Roosevelta stał się momentem krytycznym, który obnażył kruchość niepisanych zasad w obliczu globalnego wstrząsu. Roosevelt naruszył bowiem nie tyle literę prawa, co wielowiekowy rytuał, ujawniając tym samym, że wspólnota przestała wierzyć w samoistną trwałość granic. Wkroczył on w obszar dotąd zakazany w czasach, które z natury nie

sprzyjały politycznej ascezie ani rygorystycznemu przestrzeganiu republikańskich konwenansów. Wielki Kryzys oraz nadchodząca wojna światowa stworzyły klimat, w którym argument stabilności przywództwa zaczął niebezpiecznie dominować nad tradycyjnym argumentem rotacji. Slogan o konieczności pozostania sternika na mostku podczas największej burzy nie był jedynie retorycznym zabiegiem, lecz esencją filozofii czasu wyjątkowego.

W momentach egzystencjalnego zagrożenia wspólnota polityczna wykazuje naturalną skłonność do wiary, że zmiana lidera niesie ze sobą ryzyko większe niż przedłużenie jego władzy. Z ekonomicznego punktu widzenia jest to klasyczny efekt awersji do niepewności, gdzie znane status quo wygrywa z nieprzewidywalnością zmiany. Socjologia polityki widzi w tym procesie mobilizację wokół figury gwaranta, który staje się ucieleśnieniem bezpieczeństwa w świecie pozbawionym punktów oparcia. Niemniej w sferze prawa konstytucyjnego rodzi się wówczas niebezpieczne napięcie między stanem wyjątkowym jako argumentem siły a republikańską normalnością jako zasadą porządku. Roosevelt wygrał trzecią i czwartą batalię o Biały Dom, a Ameryka odebrała wówczas gorzką lekcję o tym, jak łatwo dogmaty ustępują przed logiką konieczności.

Ostatecznie 22. poprawka, czyli przepis konstytucyjny z 1951 roku ograniczający możliwość wyboru na urząd prezydenta do dwóch kadencji, stała się konieczną kodyfikacją dawnej normy. Była to reakcja systemu na traumę naruszenia tabu, próba przywrócenia równowagi tam, gdzie wcześniej wystarczał autorytet tradycji i poczucie przyzwoitości. Toteż, jak przypomina Congress.gov, to formalne ograniczenie miało służyć jako bezpiecznik chroniący przed zjawiskiem renty personalnej, czyli długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa przez jedną osobę. Historia ta uczy nas, że kultura polityczna, ten zbiór niepisanych zasad i norm wstydu, jest fundamentem, bez którego nawet najdoskonalsza konstytucja staje się jedynie martwą literą. Gdy pękają niepisane reguły, prawo musi interweniować, by ratować resztki republikańskiego ducha przed erozją.

Czy 22. poprawka to szczelna tama, czy tylko lingwistyczna pułapka?

Niepisane tradycje polityczne przypominają lód na jeziorze – wydają się solidne i niewzruszone tylko tak długo, jak długo nikt nie postanowi sprawdzić ich wytrzymałości gwałtownym skokiem. Dwudziesta druga poprawka do Konstytucji USA, ratyfikowana w 1951 roku, nie była jedynie biurokratyczną korektą, lecz surową reakcją na uświadomienie sobie, że obyczaj przestał wystarczać jako bezpiecznik systemu. Congress.gov, oficjalne źródło informacji legislacyjnej, wskazuje jednoznacznie, że przepis ten ograniczył możliwość bycia wybranym na urząd prezydenta do dwóch razy. Wprowadził on również rygorystyczną zasadę dla osób, które sprawowały urząd lub pełniły

obowiązki prezydenta przez ponad dwa lata w zastępstwie innej osoby. Sama architektura tego zapisu jest niezwykle znamienna, ponieważ operuje on precyzyjnym rozróżnieniem między aktem wyboru a stanem sprawowania urzędu. Autorzy poprawki doskonale rozumieli, że bycie wybranym to proces polityczny, podczas gdy pełnienie obowiązków to stan faktyczny. To rozróżnienie nie jest wtórnym wynalazkiem współczesnych polemistów, lecz tkwi głęboko w samej tkance tekstu.

Właśnie dlatego konflikt interpretacyjny dotyczący limitów władzy nie jest tanią sztuczką językową, lecz wyrasta z wewnętrznej, niemal inżynieryjnej konstrukcji poprawki. W tym miejscu ścierają się dwie potężne szkoły myślenia, które od dekad definiują amerykański konstytucjonalizm. Tekstualista, wierny literze prawa, podniesie argument, że skoro ustrojodawca użył słowa „wybrany", to sąd nie ma mandatu, by potajemnie dopisywać do tekstu zakaz „pełnienia urzędu" ponad limit. Z kolei purposywista, zwolennik wykładni celowościowej, odpowie, że konstytucję należy interpretować w świetle jej funkcji, aby nie dopuścić do triumfu semantycznego sprytu nad sensem ustroju. Jest to jeden z tych klasycznych konfliktów metodologicznych, w których obie strony dysponują realnymi racjami. Po stronie tekstualizmu stoi zasada dyscypliny interpretacyjnej i niechęć do poprawiania ustawodawcy przez sędziego. Po stronie wykładni celowościowej stoi obrona integralności republiki i opór wobec legalistycznego obejścia zasad. W tej debacie nie wystarczy okrzyk, że coś jest oczywiste, gdyż oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa.

Jeśli tekst mówi mniej, niż podpowiada nam intuicja, uczciwość intelektualna nakazuje to przyznać, zamiast zaklinać rzeczywistość. Obecna dyskusja nad szczelnością 22. poprawki została ponownie uruchomiona nie tylko przez publicystyczne prowokacje, ale także przez nowe publikacje i dynamikę współczesnej polityki. W 2025 roku Donald Trump publicznie sugerował, że kwestia trzeciej kadencji nie jest dla niego wyłącznie żartem, choć jednocześnie oficjalne oświadczenia uznawały konstytucyjne granice za fakt. Reuters skrupulatnie odnotował te wypowiedzi, które zbiegły się w czasie z konkretnymi inicjatywami w Kongresie. Andy Ogles przedstawił propozycję zmiany 22. poprawki tak, aby dopuścić trzeci wybór w przypadku kadencji nieciągłych. Sam fakt wniesienia takiej propozycji ma znaczenie większe, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Pokazuje on bowiem, że część klasy politycznej uznała tekst poprawki za przeszkodę wymagającą albo formalnej rewizji, albo poszukiwania szczelin. Pytanie o limity władzy przestało być wyłącznie ćwiczeniem seminaryjnym i weszło do obiegu strategicznego.

Współczesna recepcja tego problemu rozszczepia się na dwa nurty, które rzadko znajdują płaszczyznę porozumienia. Pierwszy, dominujący w opinii publicznej, traktuje 22. poprawkę jako tamę absolutną i pełną. Drugi nurt, bardziej techniczny i mniej liczny, twierdzi, że choć zakaz trzeciego wyboru jest niewątpliwy, to pytanie o prezydenturę uzyskaną drogą inną niż wybór

pozostaje niebezpiecznie otwarte. W tym drugim obozie nie chodzi koniecznie o aprobatę dla obejścia prawa; często jest to wręcz ostrzeżenie przed strukturalną słabością systemu. Jeżeli luka istnieje choćby na poziomie argumentacji, należy ją nazwać, zanim zrobi to ktoś, kto będzie chciał ją wykorzystać do destabilizacji państwa. To bardzo ważny rys współczesnego paradygmatu naukowego, w którym uczeni nie muszą kochać hipotezy, by uważać ją za analitycznie konieczną. Najgorszą formą dogmatyzmu nie jest przecież herezja, lecz zakaz stawiania pytań, gdy odpowiedź może kiedyś decydować o przetrwaniu instytucji.

Warto w tym miejscu przywołać pewną przypowieść o skrybie, który miał przepisać regułę dla strażników mostu. Napisał on, że nikt nie może wejść na most trzeci raz tą samą bramą. Strażnicy przez lata uznawali, że zakaz dotyczy każdej próby przejścia, aż któregoś dnia pewien wędrowiec zapytał, czy wolno mu wrócić na most boczną kładką, o której reguła milczała. Jedni strażnicy oburzyli się, że samo pytanie jest niegodziwe i podważa autorytet skryby. Drudzy jednak odparli, że skoro most ma być bezpieczny, trzeba sprawdzić wytrzymałość także bocznych kładek. Morał tej opowieści jest dość brutalny: ustrój, który boi się pytań o boczne wejścia, może kiedyś odkryć, że boczne wejście stało się wejściem głównym. Konstytucje nie umierają najczęściej od frontalnego szturmu, lecz od zręcznych redefinicji, od zmiany semantycznego oświetlenia i od uporu, by nazwać obejście prawa jego twórczą interpretacją.

Powaga debaty o 22. poprawce nie polega na tym, że ktoś marzy o trzeciej kadencji, lecz na tym, że ktoś musi zawczasu opisać mechanizmy, które mogłyby do niej prowadzić. Na tym tle szczególnego znaczenia nabiera relacja między 22. a 12. poprawką. Ta ostatnia stanowi, że nikt konstytucyjnie niekwalifikujący się do urzędu prezydenta nie może być kwalifikujący się do urzędu wiceprezydenta. I właśnie tu zaczyna się jedno z najbardziej drażliwych pytań współczesnej hermeneutyki konstytucyjnej, czyli nauki o interpretacji tekstów prawnych. Czy osoba objęta zakazem z 22. poprawki jest niekwalifikująca się do prezydentury w sensie ogólnym, czy tylko nie może zostać na nią ponownie wybrana? Jeśli przyjąć pierwszą odpowiedź, droga przez wiceprezydenturę zostaje zamknięta. Jeśli drugą, tekst pozostawia pole do dalszego sporu. National Constitution Center otwarcie sygnalizuje, że problem ten jest przedmiotem rzeczywistej debaty, nie zaś wyłącznie internetowego folkloru. Samo istnienie sporu o znaczenie słowa „ineligible” nie oznacza jeszcze, że obejście byłoby legalne, ale oznacza, że legalność nie jest rozstrzygnięta przez czystą intuicję.

Jeszcze bardziej zapalne są scenariusze sukcesyjne, które testują granice wytrzymałości systemu w sytuacjach kryzysowych. 25. poprawka, jak przypomina Congress.gov, stanowi, że w razie śmierci, rezygnacji lub usunięcia prezydenta, wiceprezydent staje się prezydentem w sposób pełny, a nie tylko tymczasowy. Z kolei raporty dotyczące ustawy o sukcesji prezydenckiej wskazują, że po

prezydencie i wiceprezydencie w kolejce znajduje się Speaker Izby Reprezentantów. W debacie o luce 22. poprawki właśnie te ścieżki pojawiają się jako najbardziej kontrowersyjne eksperymenty myślowe. Były dwukadencyjny prezydent jako wiceprezydent, jako Speaker, czy jako nominowany zastępca na podstawie 25. poprawki – każdy z tych modeli stawia to samo pytanie o granice zakazu. Trzeba tu mówić z najwyższą precyzją, pamiętając, że w ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, a dopiero potem instytucje.

Renta personalna, czyli zjawisko długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa przez jedną osobę, jest właśnie tym, przed czym limit kadencji ma nas chronić. Jest to rodzaj antymonopolowego bezpiecznika, który ma zapobiegać przekształceniu się republiki w system wodzowski. Jednak kultura polityczna, rozumiana jako zbiór niepisanych zasad i norm wstydu, wydaje się dziś słabnąć na rzecz czystego, bezdusznego legalizmu. Test odporności systemu, czyli analiza teoretycznych scenariuszy prawnych mająca na celu wykrycie słabych punktów, staje się więc koniecznością. Nie chodzi o to, by podpowiadać autokratom drogę do celu, lecz by zabetonować szczeliny, zanim zostaną wykorzystane. Polityka bowiem, jak to polityka, uwielbia szczeliny w murze bardziej niż same bramy. Istnieją w prawie konstytucyjnym takie miejsca, w których jedno słowo waży więcej niż cała orkiestra komentarzy, a lekceważenie semantycznych niuansów może prowadzić do katastrofalnych skutków dla stabilności państwa. Nierozstrzygnięcie tego sporu dzisiaj oznacza, że jutro możemy obudzić się w rzeczywistości, w której boczna kładka stała się jedyną drogą przez rzekę. To różnica fundamentalna.

Konstytucja w ogniu polaryzacji: Test odporności systemu

Obecne dyskusje o obejściu limitów kadencji nie stanowią bynajmniej uznanych ścieżek prawnych, lecz są raczej hipotetycznymi wariantami ujawniającymi głębokie napięcia w samej tkance ustawy zasadniczej. Sam fakt, że owe konstrukcje można zbudować na gruncie normatywnym bez popadania w natychmiastowy absurd, jest zjawiskiem politycznie alarmującym. Współczesna nauka prawa traktuje takie scenariusze jako test odporności systemu, czyli analityczne narzędzie służące do wykrywania słabych punktów w strukturze państwa, zanim staną się one zarzewiem realnego kryzysu. To podejście wydaje się uzasadnione, gdyż dobre prawo nie jest konstrukcją działającą wyłącznie przy założeniu dobrej woli wszystkich uczestników gry politycznej. Prawdziwie trwałe ramy ustrojowe muszą przetrwać także wtedy, gdy aktorzy zaczną maksymalizować swój partykularny interes z bezwzględnością chłodnego algorytmu arbitrażowego. W ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje.

Spoglądając na ten problem przez pryzmat różnych dyscyplin, dostrzeżemy wielowarstwowość kryzysu, w którym ekonomista natychmiast rozpozna problem bodźców oraz niepełnych kontraktów. Prawnik z kolei dostrzeże tu fundamentalną trudność wykładni w sytuacji, gdy cząstkowa norma zaczyna kolidować z całościową architekturą ustroju, podważając jego wewnętrzną spójność. Z perspektywy kulturoznawczej mamy natomiast do czynienia z kryzysem mitu republikańskiego, w którym postać charyzmatycznego lidera próbuje ponownie uwolnić się spod dyscypliny rotacji. Warto zatem bronić tezy, że spór o trzecią kadencję nie jest jedynie egzotycznym projektem, lecz raczej bolesnym obnażeniem niedoskonałości obecnego tekstu konstytucji. Dzieje się to w chwili, gdy wszechobecna polaryzacja sprawia, że każda najmniejsza szczelina w murze staje się natychmiast użytecznym narzędziem walki o władzę.

Nie wolno nam lekceważyć skutków symbolicznych, ponieważ w zdrowym ustroju republikańskim limit kadencji pełni funkcję znacznie ważniejszą niż tylko czysto proceduralne zabezpieczenie techniczne. On w istocie organizuje wyobraźnię polityczną obywateli, niosąc jasny przekaz, że nawet najsilniejsza osobowość jest jedynie tymczasowym depozytariuszem urzędu, a nie jego właścicielem. Każda poważna próba obejścia tej normy niszczyłaby nie tylko konkretny bezpiecznik, lecz sam nawyk myślenia o państwie jako o systemie nadrzędnym wobec jednostki. To właśnie dlatego język niezastąpioności, streszczony w formule „tylko ja mogę to naprawić", budzi tak silny opór w tradycji republikańskiej. Problem nie tkwi w retorycznej przesadzie, lecz w całkowitym odwróceniu logiki konstytucyjnej, gdzie zamiast uznawać, że to urząd dyscyplinuje człowieka, sugeruje się, iż to człowiek nadaje legalność urzędowi.

Dwudziesta druga poprawka, czyli przepis ograniczający możliwość wyboru na urząd prezydenta do dwóch kadencji, stanowi zarazem sukces i porażkę amerykańskiej kultury politycznej, rozumianej jako zbiór niepisanych zasad regulujących zachowania władzy. Jest sukcesem, ponieważ skodyfikowała niepisaną granicę, która wcześniej opierała się głównie na kruchym obyczaju i autorytecie pierwszych prezydentów. Okazała się jednak porażką w sferze języka, który z punktu widzenia późniejszej analizy prawnej stał się mniej szczelny, niż życzyliby sobie tego obrońcy republikańskiej prostoty. Tekst zakazuje wprost jedynie trzeciego wyboru, co otwiera pole do spekulacji nad tak zwaną luką sukcesyjną, czyli potencjalną niespójnością między zakazem wyboru a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji. W grę wchodzi tu interpretacja 12. poprawki, określającej, że osoba niezdolna do sprawowania urzędu prezydenta nie może zostać wiceprezydentem.

Intencja historyczna twórców tych przepisów była znacznie szersza i miała przede wszystkim zapobiec zbyt długiemu skupieniu realnej władzy w ręku jednego człowieka. Dzisiejszy konflikt nie wynika zatem z kaprysu komentatorów, lecz z realnej szczeliny ziejącej pomiędzy literalnym

brzmieniem normy a nadrzędnym celem ustrojowym. Im bardziej spolaryzowana staje się współczesna demokracja, tym szybciej ta teoretyczna szczelina zmienia się z abstrakcyjnego problemu podręcznikowego w palący problem strategiczny. W takim układzie sił prawo przestaje być latarnią morską wskazującą bezpieczny port, a staje się raczej mapą pól minowych, po których stąpają gracze polityczni. Ostatecznie stawką w tej grze nie jest jedynie interpretacja jednego przepisu, lecz trwałość całego ogrodu republiki przed zjawiskiem renty personalnej, czyli długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa przez jedną osobę. Nierozstrzygnięcie również jest rozstrzygnięciem.

Konstytucyjna furtka: Czy 22. poprawka jest szczelna?

Państwo prawa, w swej najgłębszej istocie, nie może funkcjonować w oparciu o arbitralne uciszanie wątpliwości, gdyż każda niedopowiedziana kwestia staje się z czasem pożywką dla ustrojowego kryzysu. Musimy zatem z pełną powagą zapytać, czy konstytucyjny zakaz sprawowania urzędu przez dwie kadencje jest szczelnym pancerzem, czy jedynie selektywną barierą chroniącą przed konkretną formą elekcji. Bez precyzyjnej odpowiedzi na to pytanie republika zaczyna przypominać twierdzę z potężną, ryglowaną bramą, obok której pozostawiono niemal niewidoczną, lecz niezabezpieczoną furtkę dla wtajemniczonych. Historia systemów politycznych uczy nas bowiem rzeczy mało pocieszającej: to właśnie przez takie niedopatrzenia wchodzi nowa, często niszczycielska epoka. W ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje, a XXII Poprawka, czyli przepis z 1951 roku ograniczający wybór prezydenta do dwóch kadencji, stanowi dziś centralny punkt tego semantycznego napięcia.

Ciężar tego sporu nie spoczywa bynajmniej w samej filologii konstytucyjnej, lecz w dalekosiężnych konsekwencjach ustrojowych, które determinują stabilność całego państwa. W sferze prawa publicznego słowo rzadko bywa jedynie estetyczną ozdobą, częściej pełniąc funkcję zaworu bezpieczeństwa lub stając się mimowolnym zaproszeniem do politycznej katastrofy. Jeżeli uznamy, że rygor poprawki dotyczy wyłącznie aktu wyboru, a nie samego faktu sprawowania władzy, problem przestaje być akademicką łamigłówką dla znudzonych prawników. Staje się on wówczas fundamentalną kwestią projektowania odporności państwa, czyli zdolności systemu do przetrwania prób obejścia jego kluczowych bezpieczników. Oficjalne opracowania, w tym te publikowane przez Congress.gov, ujmują tę materię z uderzającą trzeźwością, wskazując na istotne rozróżnienie między procesem elekcji a piastowaniem urzędu.

Konstrukcja samej poprawki sugeruje, że jej autorzy operowali różnymi kategoriami prawnymi, nie utożsamiając bezpośrednio wyboru z faktycznym sprawowaniem funkcji głowy państwa. To właśnie

to rozróżnienie stanowi fundament współczesnego konfliktu interpretacyjnego, w którym ścierają się dwie odmienne wizje ochrony amerykańskiej ustawy zasadniczej. Z jednej strony mamy tekstualizm, głoszący, że sędzia nie może po latach korygować intencji ustawodawcy i dopisywać słów, których ten świadomie nie zawarł w tekście. Rygorystyczny czytelnik widzi w XXII Poprawce jedynie zakaz trzeciej elekcji i nic, co wykraczałoby poza tę literalną, surową barierę. Z drugiej strony występuje wykładnia celowościowa, przypominająca, że konstytucja nie jest jedynie grą w słownikowe skojarzenia, lecz żywym instrumentem samorządności, którego sensu należy bronić przed legalistycznym sprytem.

National Constitution Center opisuje ten spór bez zbędnej histerii, zauważając, że literalna warstwa tekstu otwiera niepokojące pytania o możliwość służby poza dwiema kadencjami. Dominująca kultura polityczna, czyli zbiór niepisanych zasad i norm wstydu regulujących zachowania elit, traktuje jednak sens poprawki znacznie szerzej. Jest ona postrzegana jako systemowa zapora przed nadmierną personalizacją władzy wykonawczej i gromadzeniem tak zwanej renty personalnej przez jedną jednostkę. Renta ta, rozumiana jako zjawisko długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa przez sieć lojalności, jest właśnie tym, co rotacja władzy ma skutecznie neutralizować. Niestety, w obecnym stanie prawnym tekst i intencja nie maszerują w jednym szeregu, lecz idą obok siebie, spoglądając w zupełnie różnych kierunkach.

W praktyce najbardziej zapalnym punktem pozostaje relacja między XXII a XII Poprawką, która określa zasady wyboru wiceprezydenta i jego kwalifikacje do objęcia najwyższego urzędu. XII Poprawka, czyli przepis określający, że osoba niezdolna do sprawowania urzędu prezydenta nie może zostać wiceprezydentem, stanowi tu punkt wyjścia do dalszych rozważań. Problem polega jednak na tym, że ową kwalifikowalność można interpretować na dwa zasadniczo odmienne sposoby, co rodzi paraliżujący dualizm prawny. W ujęciu wąskim chodzi jedynie o klasyczne wymogi z Artykułu II, takie jak wiek, obywatelstwo czy czas zamieszkiwania na terytorium Stanów Zjednoczonych. Szersza interpretacja nakazuje jednak włączyć do tego katalogu również ograniczenia wynikające z limitu kadencji, co definitywnie zamykałoby drogę powrotną byłym prezydentom.

Congress.gov odnotowuje wprost, że to właśnie od rozstrzygnięcia tego dylematu zależy, czy dwukadencyjny prezydent mógłby zostać legalnie wybrany lub mianowany wiceprezydentem. Nie jest to zatem jedynie wymysł skrajnych polemistów szukających dziury w całym, lecz realny punkt napięcia zidentyfikowany w oficjalnych analizach konstytucyjnych. Skoro pytanie to pulsuje w samym sercu współczesnej wykładni, każda deklaracja o rzekomej prostocie tej sprawy brzmi raczej jak pobożne życzenie niż rzetelna analiza. Tu właśnie odsłania się pierwsza wielka konsekwencja: próba powrotu do władzy przez urząd wiceprezydenta uderzyłaby w same fundamenty rozumienia

kwalifikacji państwowych. Czy są one jedynie warunkami wejścia do gry, czy też stałymi ograniczeniami dotyczącymi sposobu sprawowania władzy w ogóle?

Gdyby Sąd Najwyższy przyjął wąskie odczytanie przepisów, otworzyłby tym samym szeroki kanał sukcesyjny dla osób, które teoretycznie powinny już przejść na polityczną emeryturę. Przyjęcie wykładni szerokiej oznaczałoby natomiast, że XXII Poprawka blokuje nie tylko ponowną elekcję, ale każdą możliwą ścieżkę dojścia do urzędu przez stanowiska zastępcze. W obu scenariuszach nie mielibyśmy do czynienia ze zwykłym sporem o nazwisko na karcie wyborczej, lecz z decyzją definiującą granice konstytucyjnej inżynierii na całe pokolenia. W państwie głęboko spolaryzowanym takie orzeczenie stałoby się testem odporności systemu, sprawdzającym, czy ustawa zasadnicza jest jeszcze twardą normą, czy już tylko polem dla wysokiej klasy arbitrażu językowego. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, lecz tutaj na taką wygodę po prostu nie możemy sobie pozwolić.

Drugim, równie niebezpiecznym polem minowym jest tak zwana luka sukcesyjna, czyli potencjalna niespójność między zakazem wyboru a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji ustawowej. Congress.gov przypomina, że obecne prawo, wywodzone z ustawy z 1947 roku, umieszcza w kolejce do Białego Domu Speakera Izby Reprezentantów oraz prezydenta pro tempore Senatu. W literaturze przedmiotu od lat istnieją jednak poważne wątpliwości, czy włączanie liderów legislatury do linii sukcesji jest rozwiązaniem w pełni zgodnym z duchem podziału władz. Wybitni konstytucjonaliści, jak Akhil i Vikram Amar, wskazują, że ustawienie Speakera tak wysoko w kolejce rodzi fundamentalne zastrzeżenia strukturalne. Scenariusz, w którym były prezydent zostaje Speakerem i przejmuje stery państwa po podwójnym wakacie, przestaje być wtedy jedynie polityczną egzotyką, a staje się realnym wyzwaniem dla republiki.

Instytucjonalny paraliż i polityczna gra wokół limitów władzy

Konstytucyjny chaos rzadko podróżuje w pojedynkę; zazwyczaj lubi przychodzić parami, obnażając jednocześnie dwa fundamentalne defekty systemu: niejasność 22. poprawki oraz kontrowersje wokół samej ustawy sukcesyjnej. Polityka, jak to polityka, uwielbia szczeliny w murze bardziej niż same bramy. Przypowieść o mieście, które w obawie przed zarazą wzniosło trzy potężne bramy, dobrze to ilustruje. Pierwszej pilnowano surowo, drugiej wedle zwyczaju, o trzeciej zaś zapomniano tak skutecznie, że mieszkańcy przestali rozumieć cel jej istnienia. Kiedy jednak nadeszła choroba, gwałtowny spór wybuchł nie o to, czy zaraza jest groźna, lecz o to, czy owa trzecia brama w ogóle

jest bramą. Morał tej opowieści nie jest jedynie ornamentem, lecz diagnozą amerykańskiego modelu sukcesji, który pozostaje niedocenianym obszarem ryzyka ustrojowego.

Republika może szczycić się najpiękniejszymi deklaracjami o ograniczeniu władzy, lecz jeśli nie rozstrzygnie zawczasu, kto i w jakiej kolejności ma przejąć urząd, w chwili kryzysu odkryje, że konstytucja nie jest katechizmem, lecz zestawem drzwi awaryjnych. W chwilach paniki nikt nie ma czasu na studiowanie przypisów historii; drzwi awaryjne muszą być opisane lepiej niż wejście główne. Luka sukcesyjna, czyli niespójność między zakazem wyboru na trzecią kadencję a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji, staje się wówczas szczeliną, przez którą może wlać się chaos. Każda realna próba obejścia 22. poprawki z niemal stuprocentowym prawdopodobieństwem skończyłaby się przed sądami federalnymi, a ostatecznie na wokandzie Sądu Najwyższego. To właśnie tam rozegrałby się dramat instytucjonalny o skali, której współczesna demokracja jeszcze nie doświadczyła.

Sąd Najwyższy stanąłby przed koniecznością rozstrzygnięcia sprawy, która jest jednocześnie prawnicza, wyborcza i cywilizacyjnie symboliczna. W praktyce spór o trzecią prezydenturę zostałby odczytany jako ostateczna odpowiedź na pytanie, czy system posiada jeszcze jakiekolwiek sprawne hamulce bezpieczeństwa. Dlatego przewidywania, że Sąd mógłby próbować uciekać w przeszkody proceduralne, nie są irracjonalne, choć pozostają jedynie prognozami. Mógłby powstać spór o standing, czyli legitymację procesową stron, dojrzałość sprawy albo o to, czy część problemu nie leży w gestii Kongresu przy liczeniu głosów elektorskich. Każda z tych dróg miałaby jednak swoją cenę. W prawie konstytucyjnym nierozstrzygnięcie również jest formą rozstrzygnięcia.

Czasem najbardziej polityczną decyzją sądu bywa właśnie odmowa wejścia na pole minowe, co jednak nie ucisza debaty, lecz jedynie przenosi ją na ulice. Każde poważne użycie luki prawnej zostałoby przez znaczną część opinii publicznej odebrane nie jako twórcza wykładnia, lecz jako celowe obejście konstytucji. Reuters relacjonował zmienność wypowiedzi Donalda Trumpa z 2025 roku – od sugestii o trzeciej kadencji po późniejsze uznanie, że ograniczenia konstytucyjne są wiążące. Ta retoryczna wolta pokazuje, że język trzeciej kadencji stał się instrumentem politycznej projekcji siły, a nie tylko domeną prawniczych sporów. Służy on neutralizacji efektu kulawej kaczki, sugerując, że przywódca nie podlega zwykłemu zegarowi konstytucji.

Nie chodzi wyłącznie o to, czy wolno zostać na urzędzie dłużej, lecz o to, kto ma prawo mówić o sobie, jakby stał ponad rytmem sukcesji. W styczniu 2025 roku kongresman Andy Ogles zaproponował formalną zmianę konstytucji, co ma znaczenie większe niż doraźna propaganda, gdyż milcząco przyznaje, że obowiązujący tekst stanowi realną przeszkodę. Amerykańska prawica częściowo porzuca już dawną retorykę o nienaruszalności dwóch kadencji i przechodzi do pytania, czy standard ten nie powinien zostać politycznie renegocjowany. To przejście od respektu dla

ograniczenia do negocjowania owego ograniczenia jest wydarzeniem kulturowym, nie tylko legislacyjnym. Kultura polityczna, czyli zbiór niepisanych zasad regulujących zachowania władzy, przechodzi właśnie swój najtrudniejszy test odporności.

Kruchość instytucji: Dlaczego litera prawa wymaga doprecyzowania

Instytucje rzadko kruszą się w spektakularnym huku nagłego upadku; znacznie częściej ich erozja zaczyna się w ciszy, gdy nienaruszalność reguł ustępuje miejsca doraźnej wygodzie. Wyobraźmy sobie republikę jako misterną wieżę zegarową, w której limit kadencji pełni rolę regulatora chroniącego mechanizm przed przegrzaniem i zatarciem przez nadmierną ambicję jednostki. Z perspektywy ekonomii instytucjonalnej limit ten jest niczym innym jak instrumentem ograniczania renty personalnej, czyli zjawiska polegającego na długofalowym zawłaszczaniu aparatu państwa przez jedną osobę i jej sieć lojalności. Im dłużej ta sama postać zajmuje centrum sceny politycznej, tym silniej rośnie pokusa, by kapitał zaufania przekuć w trwały fundament kadrowy, finansowy i kulturowy. To nie jest wyłącznie kwestia osobistej pychy, lecz problem narastającego efektu ścieżki zależności, gdzie całe otoczenie zaczyna grawitować wokół jednego słońca, tracąc zdolność do samodzielnego bytu.

W pewnym momencie zmiana na szczycie przestaje być rutynową rotacją, a staje się egzystencjalnym zagrożeniem dla całej architektury interesów, która oplotła urząd prezydenta niczym gęsty bluszcz. Administracja, media oraz zaplecze eksperckie dostrajają swoje instrumenty do jednej melodii, co sprawia, że każda próba przywrócenia pluralizmu wygląda jak zamach na stabilność państwa. Limit kadencji ma za zadanie przeciąć ten proces, zanim sieć lojalności zdoła się w pełni zinstytucjonalizować i stać się niemożliwą do usunięcia narośla na ciele republiki. Dlatego właśnie 22. poprawka, czyli przepis ograniczający możliwość wyboru na urząd do dwóch kadencji, pełni funkcję głęboko antyoligarchiczną, chroniąc system przed skostnieniem. Choć na pierwszy rzut oka wygląda ona jak techniczna reguła wyborcza, w rzeczywistości stanowi kluczowy mechanizm rozpraszania władzy, a nie tylko suchy terminarz kolejnych elekcji.

Z perspektywy antropologii politycznej sprawa jest jeszcze bardziej złożona, gdyż demokracje prezydenckie wykazują naturalną skłonność do niebezpiecznej personalizacji władzy. Urząd głowy państwa skupia w jednej figurze symbol, sprawstwo i widowisko, co sprawia, że granica między demokratycznym przywództwem a politycznym mesjanizmem bywa cienka. Retoryka typu „tylko ja mogę to naprawić” nie jest w tym układzie przypadkową pychą kampanijną, lecz językiem, który próbuje odrzucić republikańską zasadę wymienialności ludzi. Gdy taka formuła spotyka się z realną

debatą o obejściu limitów, powstaje mieszanka o wysokim potencjale wybuchowym, zagrażająca fundamentom państwa prawa. Z jednej strony mamy niejasność tekstu, z drugiej zaś kult osoby, który sprawia, że część elektoratu akceptuje każdą nadzwyczajność, byle tylko nie dopuścić do zwycięstwa ideologicznego wroga.

W takim układzie konstytucja przestaje być wspólną regułą gry, a staje się zasobem wykorzystywanym asymetrycznie przez strony konfliktu, co jest momentem, w którym demokracja zaczyna chorować na własną intensywność. Współczesna nauka o prawie reaguje na to napięcie w sposób dwoisty, oscylując między świętym oburzeniem a chłodną, niemal chirurgiczną analizą dostępnych scenariuszy. Część komentatorów uważa, że sama sugestia obejścia 22. poprawki powinna zostać potraktowana jako intelektualnie niepoważna, gdyż niszczy ona strukturę samorządności. Inni jednak słusznie odpowiadają, że właśnie zbyt szybkie uznawanie pewnych idei za niewyobrażalne bywa formą analitycznego rozbrojenia, które czyni system bezbronnym wobec przyszłych kryzysów. Jeżeli luka istnieje na poziomie argumentacji, to trzeba ją ujawnić i poddać wiwisekcji, a nie zakrzykiwać moralnym oburzeniem, które rzadko bywa skuteczną tamą dla politycznej woli.

Instytucje takie jak National Constitution Center idą drogą najbardziej użyteczną naukowo, nie przesądzając pochopnie legalności każdego scenariusza, lecz otwarcie wskazując miejsca sporne w tekście ustawy zasadniczej. Taki styl jest niezwykle cenny, ponieważ nie produkuje fałszywej pewności, a zarazem nie popada w cyniczny relatywizm, pozwalając widzieć jednocześnie tekst, historię i strukturę. To właśnie można by nazwać współczesnym, dojrzałym paradygmatem badania konstytucji, który zakłada mniej wiary w magiczne formuły, a więcej uwagi poświęca punktom, w których instytucja może pęknąć. Obrona tez źródłowych prowadzi tu do wniosku wyraźnego i niewygodnego: sens 22. poprawki był znacznie szerszy niż samo techniczne zablokowanie trzeciego zwycięstwa wyborczego. Istnieją poważne racje, by twierdzić, że dopuszczenie trzeciej prezydentury przez sukcesję byłoby sprzeczne z duchem całej republikańskiej konstrukcji.

Niemniej jednak tekst nie został napisany z pełną szczelnością, a relacja z 12. poprawką, czyli przepisem określającym zdolność do sprawowania urzędu, pozostawia pytania, których nie można wymazać. Największe zagrożenie nie polega na tym, że luka sukcesyjna, czyli potencjalna niespójność między zakazem wyboru a możliwością objęcia urzędu, została już użyta przez cynicznego gracza. Polega ono na tym, że państwo prawa woli czasem udawać, iż problemu nie ma, zamiast przyjąć do wiadomości, że rzeczywistość domaga się precyzyjniejszej normy. Prawo, które liczy na zdrowy rozsądek wszystkich przyszłych aktorów politycznych, jest jak bank oparty wyłącznie na moralności kredytobiorców, bywając stabilnym tylko do czasu pierwszego poważnego

kryzysu. Jeżeli Ameryka chce definitywnie zamknąć tę sprawę, nie wystarczy powtarzać, że wszyscy wiedzą, co 22. poprawka miała znaczyć w zamyśle jej twórców.

W konstytucjonalizmie wspólna intuicja nigdy nie zastępuje wspólnego tekstu, a kultura polityczna, czyli zbiór niepisanych zasad i norm wstydu, bywa zawodna w czasach głębokiej polaryzacji. Potrzebne byłoby doprecyzowanie, które zakazałoby nie tylko ponownego wyboru, lecz również samego pełnienia, sprawowania albo obejmowania urzędu ponad ustalony limit, niezależnie od ścieżki sukcesji. Bez takiej korekty republika pozostanie zakładnikiem napięcia między literą a celem, czekając na moment, w którym polityka odkryje, że między nimi da się jeszcze przecisnąć ambicję. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, lecz w sprawach ustrojowych może ona stać się luksusem, na który nas po prostu nie stać. Wszak w ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje, a naprawa tych pierwszych jest zawsze tańsza niż odbudowa tych drugich.

Ewolucja limitu kadencji: Od tradycji do twardego prawa

Spór o 22. poprawkę nie jest jedynie jałową debatą dla hobbystów prawa konstytucyjnego, lecz stanowi fundamentalny test odporności systemu, czyli analizę teoretycznych scenariuszy mającą na celu wykrycie słabych punktów w strukturze państwa. Wyobraźmy sobie republikę jako ogród, w którym zbyt długo rosnące drzewo zaczyna rzucać cień zabijający mniejsze rośliny. Historia tego przepisu to w istocie kronika amerykańskiej nieufności wobec personifikacji władzy, sięgająca znacznie głębiej niż cztery elekcje Franklina Delano Roosevelta. Congress.gov przypomina, że pierwotna ustawa zasadnicza milczała w kwestii limitów, co czyniło z prezydentury urząd potencjalnie dożywotni. Dopiero traumatyczne doświadczenie przełamania tradycji przez FDR zmusiło Amerykanów do przekucia obyczaju w twardy pancerz legislacyjny.

Przez ponad półtora wieku limit dwóch kadencji funkcjonował nie jako twardy nakaz, lecz jako delikatna tkanka kultury politycznej, czyli zbioru niepisanych zasad i obyczajów regulujących zachowania poza literą prawa. Podczas Konwencji Konstytucyjnej w 1787 roku starły się dwie odmienne wizje racjonalności ustrojowej, przypominające spór o to, czy zegar państwa powinien mieć ograniczony naciąg. Jedna strona lękała się, że prezydent bez kagańca reeligibilności przeobrazi się w figurę półmonarchiczną, budując wokół siebie sieć lojalności paraliżującą inne instytucje. Druga frakcja argumentowała, że zakaz ponownego wyboru pozbawi republikę owoców doświadczenia i osłabi odpowiedzialność urzędnika przed narodem. Twórcy Konstytucji świadomie

pozostawili tę przestrzeń pustą, zakładając, że mądrość praktyki politycznej wypełni luki tekstu. To nie było przeoczenie, lecz ryzykowny kredyt zaufania udzielony przyszłym pokoleniom polityków.

Alexander Hamilton wyrósł na najwybitniejszego rzecznika tej drugiej, antylimitarnej logiki, co z pasją wyłożył w eseju Federalist No. 72. Przekonywał on, że urząd powinien pozostawać dostępny dla obywatelskiej decyzji tak długo, jak długo wspólnota uznaje danego człowieka za użytecznego dla dobra ogółu. Hamilton nie był przy tym naiwnym wyznawcą cnót, lecz raczej chłodnym architektem mechanizmu, w którym ambicja miała zostać zaprzęgnięta do pracy na rzecz republiki. W jego wizji polityczna sława stanowiła bodziec instytucjonalny, a nie tylko moralną nagrodę za dobre sprawowanie funkcji. Avalon Yale przechowuje ten tekst jako dowód na to, że pierwotne stanowisko federalistów traktowało rotację nie jako dogmat, lecz jako ewentualną stratę kapitału ludzkiego. W ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje, a Hamilton chciał, by słowa chroniły ciągłość skutecznego przywództwa.

Na przeciwnym biegunie amerykańskiej pamięci konstytucyjnej uformowała się tradycja washingtonowska, będąca swoistym rytuałem odczarowania władzy poprzez dobrowolną rezygnację. Choć George Washington nie pozostawił po sobie formalnej doktryny prawnej, jego odejście po dwóch kadencjach stało się wzorcem republikańskiej samodyscypliny. Congress.gov słusznie interpretuje późniejszą 22. poprawkę jako spóźnioną kodyfikację ograniczenia, które przez dekady miało charakter wyłącznie honorowy. Thomas Jefferson nadał tej praktyce ostrzejszy profil doktrynalny, postrzegając limit kadencji jako niezbędne narzędzie antymonopolowe chroniące przed rentą personalną, czyli zjawiskiem długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa przez jedną osobę. Można rzec, że Washington dostarczył republice szlachetnego przykładu, natomiast Jefferson wyposażył ją w niezbędną do przetrwania filozofię ograniczeń.

W tym ujęciu rotacja na najwyższym stanowisku w państwie przestała być jedynie kwestią personalną, a stała się fundamentem stabilności całego gmachu ustrojowego. Przekształcenie normy obyczajowej w twarde prawo było przyznaniem, że w sytuacjach kryzysowych sama kultura polityczna może okazać się zbyt kruchą barierą dla autorytarnych pokus. 22. poprawka stanowi zatem bezpiecznik, który ma chronić system przed przegrzaniem w momentach, gdy charyzma lidera zaczyna przyćmiewać literę prawa. Polityka, jak to polityka, uwielbia szczeliny w murze bardziej niż same bramy, dlatego formalizacja limitów była koniecznym domknięciem republikańskiego projektu. Ostatecznie historia ta uczy nas, że nawet najpiękniejsze tradycje wymagają czasem wsparcia ze strony bezwzględnego paragrafu.

Od obyczaju do muru: Jak 22. poprawka zmieniła amerykańską politykę

Przez niemal półtora wieku amerykański system polityczny opierał się na wzorcu, który w praktyce okazywał się znacznie trwalszy niż najbardziej rygorystyczne sankcje prawne. Można to porównać do przypowieści o ogrodzie republiki, w którym przez pokolenia ogrodnicy nie widzieli potrzeby wznoszenia wysokich murów. Wierzyli oni bowiem głęboko, że żaden rozsądny człowiek nie będzie próbował zawłaszczyć owoców z tego samego drzewa w nieskończoność, niszcząc tym samym wspólne dobro. Wystarczał im zwyczaj, poczucie wstydu oraz powszechne przekonanie, że sad nie jest własnością jednostki, lecz całego narodu. Jednak w obliczu dziejowej burzy uznano, że skoro stare drzewo wciąż rodzi owoce, nie należy go wymieniać na nowe. Wtedy właśnie odkryto, że obyczaj, choć piękny, bywa zbyt słaby, by powstrzymać ambicję.

Dwudziesta druga poprawka nie była zatem wyłącznie techniczną zmianą przepisu, lecz świadomą budową muru w miejscu, gdzie wcześniej stała jedynie niepisana reputacja. To niezwykle amerykańska lekcja pokory wobec natury władzy, która zawsze dąży do ekspansji, jeśli nie napotka oporu. Republika ufa cnocie obywatelskiej aż do momentu, w którym ta cnota przegrywa starcie z egzystencjalnym kryzysem państwa. Wtedy właśnie system, szukając ratunku, decyduje się na spisanie nowej poprawki, która ma uszczelnić dotychczasowe pęknięcia. Franklin Delano Roosevelt nie tyle zniszczył dawny zwyczaj, ile udowodnił, że norma pozbawiona formalnego rygoru może zostać zawieszona przez logikę wyjątkowego czasu. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, a Roosevelt tę oczywistość brutalnie zweryfikował.

Według danych Congress.gov, uchwalenie 22. poprawki stanowiło bezpośrednią reakcję na trzecią i czwartą kadencję Roosevelta, które zachwiały fundamentami rotacji. Prezydent ten odnosił sukcesy najpierw w warunkach Wielkiego Kryzysu, a następnie w cieniu globalnego konfliktu zbrojnego, co zmieniało optykę wyborców. W takich okolicznościach argument o konieczności zachowania ciągłości przywództwa zyskiwał niemal magnetyczną, trudną do odparcia moc przyciągania. Jest to istotne nie tylko z perspektywy historycznej, ale przede wszystkim analitycznej, gdyż pokazuje mechanizm erozji zasad. Kryzys niemal zawsze wzmacnia racje antyrotacyjne, czyli dążenie do utrzymania status quo kosztem demokratycznej wymiany elit. Z punktu widzenia ekonomii politycznej społeczeństwa w warunkach skrajnej niepewności wykazują znacznie większą tolerancję dla koncentracji władzy.

Taka koncentracja jest zazwyczaj sprzedawana opinii publicznej jako niezbędny instrument stabilności, co pozwala na budowanie renty personalnej. Renta personalna, czyli zjawisko długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa i sieci lojalności przez jedną osobę, staje się

wówczas realnym zagrożeniem dla instytucji. Roosevelt stał się katalizatorem zmiany nie dlatego, że stworzył nową doktrynę, lecz dlatego, że obnażył słabość rytuału samoograniczenia. Powojenny Kongres zinterpretował ten precedens nie jako historyczną ciekawostkę, lecz jako ostrzeżenie o charakterze czysto strukturalnym. Poprawka została przyjęta w 1947 roku i ostatecznie ratyfikowana 27 lutego 1951 roku, gdy Minnesota stała się kluczowym, trzydziestym szóstym stanem. Data ta nie jest przypadkowa, gdyż nie był to odruch wojenny, lecz chłodna, powojenna refleksja nad trwałością systemu.

Była to świadoma odpowiedź na doświadczenie, że republika potrzebuje znacznie mocniejszego bezpiecznika niż tylko mglista pamięć o cnotach George'a Washingtona. W ten sposób niepisana norma przeszła przez proces formalizacji, co stanowi klasyczny moment konstytucjonalizacji obyczaju w amerykańskim prawie. Państwo nie porzuca w takim momencie swojej tradycji, lecz decyduje się ją zapisać, gdy przestaje wierzyć w jej instynktowną skuteczność. Jednak właśnie na etapie redakcji tekstu poprawki narodził się problem, który do dziś rozpala emocje w debatach prawniczych. Oficjalny tekst stanowi, że nikt nie może zostać wybrany na urząd prezydenta więcej niż dwa razy, co wydaje się jasne. Jednak diabeł tkwi w szczegółach dotyczących osób, które sprawowały urząd lub pełniły obowiązki prezydenta w zastępstwie.

W tym jednym, krótkim zdaniu współistnieją trzy odrębne pojęcia: bycie wybranym, sprawowanie urzędu oraz pełnienie obowiązków głowy państwa. Congress.gov oraz National Constitution Center wskazują na to rozróżnienie jako na fundament współczesnych kontrowersji interpretacyjnych. To właśnie ta specyficzna architektura terminologiczna stała się źródłem późniejszego sporu o granice dopuszczalności powrotu do władzy. Luka sukcesyjna, czyli potencjalna niespójność między zakazem wyboru a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji, stała się paliwem dla tekstualistów. Gdyby ustrojodawca użył tylko jednego czasownika, pole do manewru dla interpretatorów byłoby znacznie mniejsze. Polityka, jak to polityka, uwielbia szczeliny w murze bardziej niż same bramy, zwłaszcza gdy stawką jest najwyższy urząd w państwie.

Między literą prawa a polityczną luką: Czy 22. poprawka jest szczelna?

Współczesna recepcja naukowa amerykańskiego konstytucjonalizmu właśnie w tym punkcie ulega gwałtownemu rozszczepieniu, przypominając pryzmat, który rozbija jednolite światło prawa na spektrum sprzecznych interpretacji. Jedna szkoła, dominująca w ujęciu normatywnym, traktuje 22. poprawkę jako instrument kategoryczny, którego celem jest uniemożliwienie trzeciej prezydentury w sensie materialnym, niezależnie od obranej ścieżki prawnej. Z tej perspektywy ograniczenie

kadencyjności to przede wszystkim narzędzie antymonopolowe, mające na celu minimalizowanie zjawiska, jakim jest renta personalna, czyli długoterminowe zawłaszczanie aparatu państwa i sieci lojalności przez jedną osobę u władzy. Druga szkoła, o profilu rygorystycznie tekstualnym, podnosi jednak argument, że pewność tak szerokiej tezy nie wynika wprost z literalnego brzmienia ustawy zasadniczej. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, dlatego poważna analiza musi wyjść poza potoczne rozumienie zakazu. National Constitution Center w swoim kompleksowym omówieniu z 2024 roku nie kwestionuje wprawdzie oczywistego zakazu trzeciego startu w wyborach, ale jednocześnie wskazuje, że pytanie o sprawowanie urzędu poza dwiema kadencjami drogą inną niż elekcyjna pozostaje przedmiotem żywej debaty. To właśnie stanowi współczesny paradygmat nauki o konstytucji: umiejętność dostrzeżenia, że prawo nie zawsze jest tak szczelne, jak chcieliby jego twórcy.

Nie należy jednak udawać, że interpretacyjna szczelina nie istnieje, ani tym bardziej mylić jej obecności z automatycznym przyzwoleniem na systemowe obejście reguł. Mówiąc brutalniej, między samą możliwością zadania pytania o lukę a realną szansą na legalne zwycięstwo rozciąga się jeszcze cały kontynent instytucji, tradycji interpretacyjnych oraz gigantycznych kosztów politycznych. W tym sensie współczesne monografie i artykuły analizujące potencjalną lukę sukcesyjną, czyli niespójność między zakazem wyboru a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji, nie są jedynie akademicką prowokacją. Stanowią one raczej formę zaawansowanej diagnostyki ustrojowej, która ma przygotować system na scenariusze dotąd niewyobrażalne. Polityka, jak to polityka, uwielbia szczeliny w murze bardziej niż same bramy, toteż badanie tych pęknięć jest obowiązkiem konstytucjonalistów. Reuters donosił w 2025 roku o fali nowych spekulacji wokół możliwości trzeciej kadencji Donalda Trumpa, co dowodzi, że temat ten przestał być domeną teoretyków i wrócił do głównego obiegu politycznego. Równolegle Andy Ogles zaproponował formalną poprawkę pozwalającą na trzeci wybór w szczególnej konfiguracji, co stanowi swoisty test odporności systemu, czyli analizę mającą na celu wykrycie słabych punktów w strukturze państwa.

Z kolei instytucje takie jak National Constitution Center czy serwisy Congress.gov zachowują ton znacznie bardziej techniczny, ale właśnie przez tę powściągliwość ich głos staje się cenniejszy dla badacza. Zestawione razem, źródła te ukazują trzy odmienne poziomy recepcji problemu, które współistnieją w amerykańskiej przestrzeni publicznej. Mamy zatem poziom politycznej ekspansji, który nieustannie testuje granice tego, co dopuszczalne, oraz poziom publicystycznej mobilizacji, którego zadaniem jest dramatyzowanie sporu w celu przyciągnięcia uwagi wyborców. Nad nimi góruje poziom naukowo-konstytucyjny, stawiający fundamentalne pytania o strukturę przepisu oraz o to, czy duch poprawki został zapisany z dostateczną, matematyczną niemal precyzją. To napięcie między trzema obiegami wiedzy jest samo w sobie fascynującym przedmiotem analizy

kulturowej, pokazującym, jak prawo staje się polem bitwy o symbole. W nowoczesnych demokracjach tekst konstytucji żyje bowiem jednocześnie jako twarda norma, jako potężny symbol ciągłości oraz jako niezwykle skuteczny zasób propagandowy.

Warto w tym miejscu nazwać rzecz najostrzej, unikając jednak pokusy konfabulacji czy taniej sensacji. Teza źródłowa, głosząca, że obecny tekst 22. poprawki może pozostawiać przestrzeń dla kontrowersyjnych dróg obejścia limitów, nie jest prawniczą fantazją, lecz stanowiskiem osadzonym w rzeczywistym sporze metodologicznym. Nie oznacza to wszakże, że wszystkie przywoływane w mediach scenariusze mają tę samą wagę gatunkową czy szansę na realizację przed Sądem Najwyższym. Najbardziej klasyczny i najtrudniejszy do zbycia argument dotyczy wiceprezydentury oraz jej kolizji z zapisami 12. poprawki. National Constitution Center analizuje 12. poprawkę właśnie jako główne źródło pytania o to, kto jest konstytucyjnie kwalifikujący się do sprawowania urzędu. To tutaj koncentruje się zasadnicza walka interpretacyjna o sens słowa „ineligible", które w języku prawniczym oznacza brak zdolności do objęcia funkcji. Pytanie brzmi: czy termin ten obejmuje tylko podstawowe warunki z Artykułu II, takie jak wiek czy miejsce urodzenia, czy także późniejsze ograniczenie wynikające z 22. poprawki?

Bez jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie nie da się definitywnie zamknąć wariantu, w którym były prezydent powraca do władzy jako następca w linii sukcesji. A skoro kwestia ta nie została dotąd sądownie przesądzona w tak ekstremalnym kontekście, źródłowa ostrożność wobec rzekomej prostoty sprawy wydaje się w pełni uzasadniona intelektualnie. Kluczowe znaczenie ma tutaj sposób, w jaki amerykański system ustrojowy rozumie subtelną różnicę między aktem wyboru a samym faktem objęcia urzędu. Dwudziesta piąta poprawka stanowi przecież, że w przypadku śmierci, rezygnacji lub usunięcia prezydenta, to wiceprezydent zostaje prezydentem, a nie jedynie pełni jego obowiązki. Congress.gov podkreśla z całą mocą, że mamy tu do czynienia z pełną sukcesją, co jakościowo różni się od tymczasowego zastępstwa. Jest to rozróżnienie fundamentalne, ponieważ współczesny spór nie toczy się wyłącznie o semantykę, lecz o to, czy sukcesja może stać się legalnym kanałem obejścia woli wyborców wyrażonej w limitach kadencji.

Tekstualiści, przywiązani do litery prawa, skłonni są twierdzić, że skoro konstytucja milczy o sukcesji w kontekście limitów, to jest ona dopuszczalna. Z kolei purposywiści odpowiadają, że choć prawnie może to wyglądać na dopuszczalne, to ustrojowo nie wolno pozwolić, by techniczna różnica zniszczyła fundament republiki. Z klasycznej filozofii prawa wynikałby stąd bardzo stary, ale wciąż aktualny wniosek dotyczący granic interpretacji. Tam, gdzie forma proceduralna zaczyna niszczyć głęboki sens instytucji, interpretacja staje się walką o granice lojalności wobec samego tekstu. Za mało tekstu i otrzymujemy rządy niekontrolowanych intencji; za mało intencji i ryzykujemy rządy prawniczej sztuczki, która ośmiesza prawo. 22. poprawka znajduje się dokładnie na tym

niewygodnym progu, gdzie litera i duch rzadko podają sobie ręce. Nieprzypadkowo więc współczesny dyskurs prawniczy coraz częściej widzi w niej laboratorium teorii interpretacji, a nie tylko prosty przepis techniczny.

W tej debacie obecny jest tekstualizm, bo słowo „elected" nie znalazło się w tekście poprawki przez przypadek i niesie ze sobą konkretne skutki prawne. Silnie zaznaczona jest celowość, gdyż cała geneza tego przepisu wiąże się z traumatycznym dla wielu doświadczeniem prezydentury FDR i chęcią zapobieżenia nadmiernej personalizacji urzędu. Nie można też pominąć strukturalizmu, ponieważ nie da się zrozumieć 22. poprawki w całkowitym oderwaniu od 12. i 25. poprawki oraz od ustawy o sukcesji prezydenckiej. A wreszcie w grę wchodzi realizm polityczny, przypominający, że nawet najdoskonalsza wykładnia konstytucji nie funkcjonuje w próżni, lecz w gęstej atmosferze polaryzacji. Reuters pokazywał w 2025 roku, że sama mowa o trzeciej kadencji stała się elementem realnej gry o władzę i wpływy. Nie trzeba wierzyć w ostateczną, legalną skuteczność takiego projektu, by dostrzec, że język ten wykonuje konkretną pracę polityczną już teraz, przesuwając granice debaty.

Tu pojawia się pewna przypowieść, która dobrze ilustruje ten dylemat. Królestwo bez króla postanowiło niegdyś, że każdy strażnik mostu będzie zmieniany po dwóch pełnych wartach, aby nikt nie poczuł się właścicielem przeprawy. Przez sto pięćdziesiąt lat nikt tego nie kwestionował, więc regułę trzymano bardziej w zbiorowej pamięci niż na oficjalnej tablicy. Gdy jednak nadeszła wielka wojna, mieszkańcy z lęku zostawili tego samego strażnika na kolejne zmiany, bo znał on rzekę i potrafił dostrzec nieprzyjaciela w ciemności. Po wojnie, chcąc uniknąć powtórki, wybili surową regułę w twardym kamieniu, by nikt już nie miał wątpliwości. Problem polegał na tym, że kamieniarz wyrzeźbił zakaz przechodzenia dwa razy tą samą drogą, ale zapomniał dopisać cokolwiek o promie, kładce czy przeprawie przez błoto. Od tej chwili całe królestwo zaczęło się kłócić, czy kamień zakazuje samej podróży, czy tylko korzystania z tej jednej, konkretnej ścieżki. Morał jest prosty: w ustroju nie wystarczy mieć szlachetną intencję, trzeba jeszcze z aptekarską precyzją opisać trasę, którą ma podążać władza.

Z tej perspektywy najciekawszy wniosek płynie nie z samej historii legislacyjnej, lecz z faktu, jak bardzo jest ona aktualna w świetle dzisiejszych sporów. 22. poprawka miała w założeniu zamknąć epokę nadmiernej trwałości prezydentury i przywrócić republikański rytm rotacji. Zrobiła to nadzwyczaj skutecznie w sensie politycznego standardu i kultury politycznej, czyli zbioru niepisanych zasad i norm wstydu, które regulują zachowania liderów. Nie udało się jej jednak osiągnąć pełnej, dogmatycznej szczelności, co sprawia, że jej historia jest historią jedynie częściowego zwycięstwa. Udało się skodyfikować zasadę, że amerykańska republika nie życzy sobie trzeciego zwycięstwa wyborczego tej samej osoby, co jest fundamentem stabilności. Nie udało się

jednak sformułować przepisu tak, by na zawsze unicestwić każdy poważny spór o trzecią prezydenturę uzyskaną drogą sukcesji. National Constitution Center i Congress.gov dowodzą dziś, że debata o tych niuansach wciąż jest możliwa i potrzebna. Reuters oraz wydarzenia polityczne z 2025 roku pokazują natomiast, że stare pytania zyskały nowe, gwałtowne życie publiczne.

Wszystko to tworzy obraz, który precyzyjnie odpowiada złożoności współczesnego świata prawnego. Problem luki nie jest wydumany przez znudzonych profesorów, ale też nie jest rozstrzygnięty w sposób tak prosty, jak chcieliby tego zwolennicy konstytucyjnego samozadowolenia. Dlatego ostateczny osąd musi być jednocześnie historyczny i profetyczny, patrzący wstecz na intencje ojców założycieli i w przód na ambicje ich następców. Historia 22. poprawki uczy nas, że amerykańska republika najpierw ufała obyczajowi, potem zaufała pisanemu tekstowi, a dziś musi ponownie nauczyć się nie ufać bezgranicznie ani jednemu, ani drugiemu. Obyczaj pękł niegdyś pod ciężarem wielkiego kryzysu, a tekst okazał się mniej krystaliczny, niż wynikałoby to z popularnej mitologii o doskonałości konstytucji. Współczesny paradygmat naukowy nie polega więc na bezmyślnym powtarzaniu, że wszystko jest jasne, lecz na odważnym mapowaniu miejsc, w których prawo wciąż pozostaje niedopowiedziane.

Między literą prawa a luką: dlaczego konstytucja wymaga testów

Istnieją w prawie konstytucyjnym takie miejsca, w których jedno słowo waży więcej niż cała orkiestra komentarzy, a precyzyjne oddzielenie trzech pozornie tożsamych płaszczyzn staje się fundamentem stabilności państwa. Pierwsza z nich nie budzi wątpliwości: trzeci wybór na urząd prezydenta w drodze powszechnego głosowania jest kategorycznie zakazany przez literę ustawy zasadniczej. Druga płaszczyzna wprowadza nas jednak w obszar cienia, bowiem trzecia prezydentura uzyskana drogą sukcesji pozostaje przedmiotem głębokiego sporu interpretacyjnego, którego nie da się zamknąć jednym autorytatywnym gestem. Sam fakt istnienia tej kontrowersji stanowi najsilniejszy argument za dalszym doprecyzowaniem konstytucji, o ile wspólnota polityczna rzeczywiście pragnie definitywnie zaryglować każdą potencjalną furtkę do władzy. W prawie konstytucyjnym najdroższe bywają nie te błędy, które widać od razu, lecz te, które przez pół wieku uchodzą za nieistotne, aż nagle stają się gotowym planem politycznym. Można to porównać do mechanizmu wieży zegarowej, gdzie jedna poluzowana śruba nie zatrzymuje wskazówek natychmiast, lecz po dekadach doprowadza do zatarcia całego mechanizmu w najmniej odpowiednim momencie.

Recepcja akademicka sporu o 22. poprawkę, czyli przepis konstytucyjny z 1951 roku ograniczający możliwość wyboru na urząd prezydenta do dwóch kadencji, rozwija się dziś na przecięciu trzech wielkich języków interpretacji. Pierwszym z nich jest tekstualizm, który z niemal chirurgiczną precyzją upiera się, że konstytucja nie jest zbiorem pobożnych życzeń, lecz dokumentem, którego słowa mają własny, autonomiczny ciężar normatywny. Tekstualista zaczyna od prostego, ale niebanalnego spostrzeżenia: poprawka nie mówi, że nikt nie może pełnić urzędu prezydenta po raz trzeci, lecz że nikt nie może zostać nań wybrany. To nie jest lingwistyczna mgła, lecz zapis, w którym czasowniki zostały rozdzielone z pełną świadomością ich prawnych konsekwencji dla systemu. Jeśli ktoś twierdzi, że tekst nie pozostawia pola do pytań o sukcesję, w gruncie rzeczy prosi nas, byśmy zamknęli oczy na samą redakcję dokumentu. Takie stanowisko bywa politycznie wygodne, lecz dogmatycznie jest zbyt pewne siebie, gdyż sędzia nie jest upoważniony do tajnego dopisywania słowa „służyć" tam, gdzie naród ratyfikował słowo „wybrany".

Drugim językiem jest wykładnia celowościowa, która przypomina, że tekst powstał po to, aby urzeczywistniać określoną architekturę republikańską, a nie dostarczać prawnikom materiału do semantycznych ucieczek. Geneza poprawki była przecież bezpośrednio związana z doświadczeniem czterech kadencji Franklina D. Roosevelta i chęcią ukrócenia zjawiska, jakim jest renta personalna. Renta personalna, czyli zjawisko długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa i sieci lojalności przez jedną osobę u władzy, stanowi w tej optyce śmiertelne zagrożenie dla rotacyjności urzędów. National Constitution Center przypomina, że decyzja Washingtona o odejściu po dwóch kadencjach stworzyła konwencję, która trwała nienaruszona przez około sto pięćdziesiąt lat. Z tego punktu widzenia odczytanie 22. poprawki wyłącznie jako technicznego zakazu trzeciego zwycięstwa wyborczego wydaje się zbyt wąskie, ponieważ całkowicie pomija republikański sens całego przedsięwzięcia. Wykładnia celowościowa mówi zatem, że konstytucji nie wolno czytać w sposób, który pozwalałby sprytnemu aktorowi obejść to, co prawo miało w zamierzeniu zabezpieczyć.

Trzecim językiem jest strukturalizm konstytucyjny, który nakazuje czytać 22. poprawkę w nierozerwalnym związku z 12. poprawką, 25. poprawką oraz ustawowym prawem sukcesji. Sens konkretnego przepisu ujawnia się bowiem dopiero w całym mechanizmie przenoszenia władzy, który działa niczym system naczyń połączonych. 12. poprawka, czyli przepis określający, że osoba niezdolna do sprawowania urzędu prezydenta nie może zostać wiceprezydentem, staje się tutaj kluczowym punktem odniesienia. Problem polega na tym, czy zakaz bycia wybranym automatycznie czyni daną osobę konstytucyjnie niekwalifikującą się do sprawowania urzędu w ogóle, czy dotyczy tylko samej procedury wyborczej. Luka sukcesyjna, czyli potencjalna niespójność między zakazem wyboru na trzecią kadencję a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji, ujawnia napięcie, którego nie przewidzieli autorzy systemu. W języku teorii systemów byłby to

klasyczny przypadek napięcia między normą punktową a architekturą całości, gdzie poszczególne moduły nie zostały napisane z myślą o takiej konfiguracji.

Można powiedzieć, że konstytucja zbudowała porządny front domu, ale przy bocznych drzwiach zostawiła projektanta z ołówkiem w połowie szkicu, licząc na dobrą wolę mieszkańców. Polityka, jak to polityka, uwielbia szczeliny w murze bardziej niż same bramy, a niedokończony szkic staje się dla niej zaproszeniem do przebudowy według własnego uznania. Właśnie dlatego współczesna recepcja naukowa jest dużo mniej dogmatyczna, niż sugeruje to uproszczona i często spolaryzowana debata medialna. W głównym nurcie akademickim nie ma entuzjazmu wobec tezy, że trzecia prezydentura przez sukcesję byłaby po prostu zgodna z prawem, ale pojawia się uczciwe przyznanie, że absolutna pewność w drugą stronę także nie wynika automatycznie z tekstu. National Constitution Center w swoich omówieniach z końcówki 2024 roku nie używa języka zamkniętej oczywistości, lecz stosuje metodę ostrożnej identyfikacji sporu. Nauka prawa, kiedy osiąga dojrzałość, nie udaje prostoty tam, gdzie system obiektywnie pozostawił złożoność i niebezpieczne niedopowiedzenie.

Źródłowa teza, że akademicki konformizm bywa w takich sprawach niebezpieczny, zasługuje na stanowczą obronę przed zarzutami o sianie niepotrzebnego niepokoju. Kiedy pewne interpretacje uznaje się za niewyobrażalne nie dlatego, że zostały logicznie obalone, lecz dlatego, że wydają się politycznie odrażające, nauka zaczyna pełnić funkcję ceremonialną, a nie analityczną. Tymczasem republiki nie rozpadają się wyłącznie od jawnych zamachów stanu, lecz także od sytuacji, w których eksperci zbyt długo odmawiają zbadania niewygodnej ścieżki. Badanie luki nie jest przecież jej promocją, lecz czynnością higieniczną, podobną do sprawdzania szczelności kadłuba statku przed wypłynięciem na pełne morze. System, którego nie wolno testować intelektualnie, zostanie prędzej czy później przetestowany politycznie przez graczy, którzy badają słabe miejsca bez cienia akademickiej uprzejmości. Test odporności systemu, czyli analiza teoretycznych scenariuszy prawnych mająca na celu wykrycie słabych punktów w strukturze państwa, jest zatem metodologicznym obowiązkiem badacza.

Teza, że należy o tych pęknięciach mówić otwarcie, zamiast zasłaniać się okrzykiem o „rzeczach nie do pomyślenia”, jest nie tylko erystycznie skuteczna, ale przede wszystkim dojrzała. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, a w sprawach ustrojowych lenistwo to bywa niezwykle kosztowne dla przyszłych pokoleń. Współczesny kontekst polityczny tylko zwiększa wagę tego argumentu, co widać w relacjach agencji Reuters z marca 2025 roku dotyczących wypowiedzi Donalda Trumpa. Były prezydent sugerował wówczas, że nie żartuje w sprawie trzeciej kadencji i że istnieją metody prowadzące do takiego rezultatu, choć sam przyznawał, że konstytucja zasadniczo tego zabrania. W październiku 2025 roku ten sam Reuters odnotował jego późniejsze wypowiedzi, w których uznawał, że prawo blokuje mu start do trzeciej

elekcji. Te dwa momenty wcale się nie znoszą, lecz pokazują mechanikę współczesnego populizmu konstytucyjnego, który żongluje interpretacjami w zależności od politycznego klimatu.

Sama ta sinusoidalność nastrojów jest istotna dla badacza, ponieważ oznacza, że trzecia kadencja funkcjonuje już jako instrument presji symbolicznej, nawet jeśli nie materializuje się jako pełny projekt prawny. Kultura polityczna, czyli zbiór niepisanych zasad, obyczajów i norm wstydu regulujących zachowania poza literą prawa, wydaje się w tym starciu coraz słabsza. Najpierw testuje się granice wyobraźni politycznej społeczeństwa, a dopiero potem, zależnie od reakcji, wraca się do języka legalistycznego realizmu lub kontynuuje ofensywę. Do tego dochodzi próba formalnej renegocjacji samej reguły, co pokazała inicjatywa Andy'ego Oglesa ze stycznia 2025 roku, dotycząca projektu poprawki pozwalającej na wybór prezydenta do trzech razy. Niezależnie od oceny szans powodzenia tej konkretnej inicjatywy, jej znaczenie jest głębsze, gdyż przesuwa ona granice tego, co w debacie publicznej uznaje się za dopuszczalne. W ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje, dlatego tak ważne jest, by nauka prawa nie abdykowała przed trudnymi pytaniami. Najgorszą formą dogmatyzmu nie jest herezja, lecz zakaz stawiania pytań w sytuacjach, gdy odpowiedź może kiedyś decydować o przetrwaniu i stabilności całego państwa.

Kreatywna interpretacja czy zagrożenie dla republiki?

Oto ograniczenie kadencyjne przestaje być traktowane jako niewzruszony element republikańskiej architektury, a zaczyna być przedstawiane jako norma potencjalnie negocjowalna, o ile wymaga tego doraźna użyteczność polityczna konkretnego lidera. W wymiarze kulturowym jest to przesunięcie tektoniczne, które zwiastuje głębszą erozję fundamentów państwa. Gdy wspólnota polityczna zaczyna debatować nie nad tym, jak najwierniej przestrzegać ograniczenia, lecz nad tym, czy owo ograniczenie nie przeszkadza zbyt wielkiemu człowiekowi, wówczas zasada rządów prawa przechodzi z pozycji nienaruszalnego aksjomatu do pozycji warunkowej propozycji. To właśnie jest ten moment, w którym republika traci część swojej pierwotnej niewinności, a w jej miejsce wkracza cynizm przebrany w szaty pragmatyzmu. Wszak w ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, a dopiero znacznie później kruszą się same instytucje.

Wyobraźmy sobie pewne miasto, w którym przed wiekami ustanowiono surową regułę: dzwon na wieży ratuszowej może bić dla jednego strażnika tylko przez dwa sezony. Przez całe pokolenia nikt nie pytał o sens tego zakazu, bo wszyscy rozumieli, że dzwon należy do miasta, a nie do tego, kto akurat trzyma sznur. Jednak pewnego dnia pojawił się strażnik szczególnie głośny, charyzmatyczny i uwielbiany przez rzesze swoich zwolenników, którzy w jego głosie słyszeli jedyną drogę do ocalenia. Część mieszkańców zaczęła wówczas twierdzić, że problemem nie jest trzeci sezon

strażnika, lecz przestarzała, krępująca go reguła. Nie atakowali już samego dzwonu, lecz sens jego ograniczenia, uznając, że wyjątkowość osoby unieważnia ogólność prawa. Morał tej opowieści jest prosty i nieco ponury: dzwon, który bije zbyt długo dla jednego człowieka, w końcu przestaje budzić obywateli, a zaczyna ich usypiać.

Instytucje państwowe zaczynają słabnąć nie wtedy, gdy hordy barbarzyńców chcą je zburzyć w jednym gwałtownym akcie, lecz wtedy, gdy coraz więcej szanowanych obywateli uznaje, że dla wyjątkowej osoby można je po prostu przesunąć o kilka centymetrów. Ta drobna korekta, ten mały gest kreatywnej interpretacji, jest w istocie kapitulacją przed kultem jednostki. Z punktu widzenia nauk ekonomicznych 22. poprawka, czyli przepis konstytucyjny z 1951 roku ograniczający możliwość wyboru na urząd prezydenta do dwóch kadencji, spełnia kluczową funkcję antymonopolową wobec politycznego rynku przywództwa. Jej rola nie sprowadza się jedynie do porządkowania kalendarza wyborczego czy pilnowania terminów. Chodzi o systemowe ograniczenie efektów kumulacji przewag, które w miarę upływu czasu nieuchronnie przekształcają urząd w potężną maszynę samowzmacniania i politycznego przetrwania.

Im dłużej jedna osoba pozostaje centralnym węzłem systemu, tym bardziej rosną korzyści sieciowe dla lojalistów, donorów, aparatów partyjnych oraz mediów. Wokół lidera powstaje swoista renta personalna, czyli zjawisko długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa i sieci lojalności przez jedną osobę u władzy, co paraliżuje naturalną rotację elit. W końcu powstaje polityczna ekonomia przywiązania do jednej figury, a koszt zmiany rośnie nie dlatego, że społeczeństwo nie posiada żadnej alternatywy, lecz dlatego, że całe otoczenie instytucjonalne nauczyło się żyć w cieniu dominującego gracza. Limit kadencji przecina ten niebezpieczny proces, zanim przejdzie on w stadium chroniczne i nieodwracalne. Właśnie dlatego spór o jego obejście nie jest jedynie jałową debatą o prawniczym formalizmie, lecz walką o to, czy państwo ma prawo chronić się przed patologią rosnących korzyści z personalnej dominacji.

Z perspektywy antropologii polityki sprawa wygląda jeszcze ostrzej, dotykając samych pokładów ludzkiej psychologii zbiorowej. Władza demokratyczna zawsze nosi w sobie ukrytą pokusę sakralizacji przywódcy, tęsknotę za kimś, kto wykroczy poza ramy zwykłej procedury. Nawet społeczeństwa nowoczesne, racjonalne i w pełni cyfrowe zaskakująco łatwo powracają do archaicznego marzenia o sterniku, który niby jest wybierany, ale zarazem ma trwać dłużej niż zwykli śmiertelnicy polityki. Stąd tak wielka rola zasady rotacji, która nie tylko reguluje obsadę urzędu, ale przede wszystkim odczarowuje człowieka, sprowadzając go do roli czasowego zarządcy. Mówi ona obywatelom, że wspólnota nie potrzebuje zbawcy, lecz sprawnie działającej procedury. Gdy ta zasada słabnie, do gry natychmiast wraca język niezastąpioności, wyjątkowego kryzysu i politycznej wyłączności, który jest trucizną dla republikańskiego ducha.

Dershowitz wydobywa tę warstwę, bo spór o 22. poprawkę nie jest jedynie ćwiczeniem z filologii konstytucyjnej. To fundamentalna walka między republikańską antropologią ograniczenia a plemienną antropologią wodza, gdzie w pierwszej urząd jest silniejszy od osoby, a w drugiej osoba staje się najwyższym interpretatorem urzędu. Wnioski płynące z analizy powinny być zatem bezwzględnie jasne, choć pozbawione niepotrzebnej gruboskórności. Po pierwsze, nie ma poważnego sporu prawnego co do tego, że 22. poprawka zakazuje trzeciego wyboru na urząd prezydenta w drodze powszechnego głosowania. To jest twardy rdzeń obowiązującego rozumienia prawa, którego nie da się podważyć bez otwartego zerwania z konstytucją. Po drugie jednak, istnieje rzeczywisty, a nie zmyślony konflikt interpretacyjny dotyczący tego, czy dwukrotnie wybrany prezydent mógłby jeszcze objąć urząd przez sukcesję.

Owa luka sukcesyjna, czyli potencjalna niespójność między zakazem wyboru na trzecią kadencję a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji, ujawnia niebezpieczne napięcie w tekście ustawy zasadniczej. Spór ten dotyczy relacji między słowem elected z 22. poprawki a pojęciem constitutional ineligibility z 12. poprawki, czyli przepisu określającego, że osoba niezdolna do sprawowania urzędu prezydenta nie może zostać wiceprezydentem. Nawet jeśli wielu konstytucjonalistów uznałoby takie obejście za sprzeczne z duchem prawa, to sam fakt istnienia tej szczeliny jest argumentem za doprecyzowaniem tekstu. Kultura polityczna, czyli zbiór niepisanych zasad i norm wstydu regulujących zachowania poza literą prawa, przestaje bowiem pełnić funkcję bezpiecznika w obliczu wielkiej ambicji. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, które mści się w chwilach największej próby.

Konsekwencje polityczne potencjalnego testowania tej luki byłyby dewastujące dla stabilności państwa i jego instytucji. Nie chodzi tylko o widowiskowy spór sądowy, ale o ryzyko głębokiej erozji legitymizacji Sądu Najwyższego oraz destabilizację całego procesu sukcesji. Tego rodzaju procesy rzadko kończą się od razu spektakularną katastrofą; zazwyczaj zaczynają się od powolnego oswajania samego pomysłu w debacie publicznej. Najpierw pada niewinne pytanie, potem pojawia się żart, następnie sprzedaje się koszulki z chwytliwym hasłem, a dopiero na końcu buduje się realną ścieżkę proceduralną. Analiza ta służy jako test odporności systemu, czyli badanie teoretycznych scenariuszy mające na celu wykrycie słabych punktów państwa, zanim staną się one narzędziem realnego kryzysu. Relacje z 2025 roku dobitnie pokazują, że ten proces testowania granic naszej wyobraźni już się wydarzył.

Najbardziej godna obrony teza brzmi następująco: konstytucji nie służy ani konformistyczne przemilczanie luki, ani frywolne zachwycanie się jej kreatywnym potencjałem. Służy jej odważne nazwanie problemu i doprowadzenie do takiej jasności tekstu, która odbierze przyszłym aktorom pokusę zastosowania ustrojowej sztuczki. W tym sensie obrona powagi konstytucyjnej jest obroną

samej republiki przed jej własnymi słabościami. Dojrzały konstytucjonalizm polega na uszczelnianiu drzwi, zanim ktoś zacznie twierdzić, że wcale nie próbował się włamać, a jedynie bardzo kreatywnie nacisnął klamkę. Gdy idzie o najwyższy urząd w państwie, proceduralna pomysłowość nie jest cnotą, lecz groźną pokusą. Republiki, które zbyt długo mylą pokusę z interpretacją, budzą się zwykle w świecie, w którym dawne limity nadal istnieją na papierze, ale przestały istnieć w wyobraźni i sercach obywateli.

Konstytucyjna szara strefa: Czy sukcesja pozwala ominąć zakaz?

Problem nie sprowadza się do ambicji jednej jednostki pragnącej przedłużyć swój pobyt w Białym Domu, lecz dotyczy zbiorowego przyzwyczajenia, że ustawę zasadniczą można obchodzić z dostatecznie poważną miną. Finał tej batalii nie rozgrywa się wyłącznie w suchym tekście 22. poprawki, lecz w fundamentalnym pytaniu o to, jaką republiką chcą pozostać Stany Zjednoczone w dobie kryzysu autorytetów. Jeżeli konstytucja ma być jedynie zbiorem technicznych zakazów, to spór o semantykę słowa „wybrany" można zamknąć w gabinecie językoznawcy. Jeśli jednak uznamy ją za akt samowiązania wspólnoty politycznej, debata o trzeciej prezydenturze staje się pytaniem o granice dopuszczalnej kreatywności wobec fundamentów ustroju. Wszak w ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje, a obecne pęknięcie wydaje się wyjątkowo głębokie.

Tekst poprawki wydaje się na pierwszy rzut oka kategoryczny: nikt nie może zostać wybrany na urząd prezydenta więcej niż dwa razy. Zarazem jednak sama litera prawa precyzyjnie rozróżnia bycie wybranym, sprawowanie urzędu oraz pełnienie obowiązków, co tłumaczy, dlaczego widmo luki sukcesyjnej, czyli potencjalnej niespójności między zakazem wyboru a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji, nie zostało całkowicie uśmiercone. Właśnie ta podwójność, czyli jasność rdzenia przy jednoczesnej nieszczelności obrzeży, czyni 22. poprawkę, przepis z 1951 roku ograniczający możliwość wyboru do dwóch kadencji, tak drażliwym węzłem współczesnego konstytucjonalizmu. Historia tej normy potwierdza, że pierwotna intencja polityczna była znacznie szersza niż sama technika zakazu trzeciej elekcji. Przez blisko półtora wieku amerykańska republika opierała się bardziej na waszyngtońskim obyczaju samoograniczenia niż na twardym nakazie tekstu, co dowodzi siły kultury politycznej, czyli zbioru niepisanych zasad regulujących zachowania poza literą prawa.

Dopiero traumatyczne doświadczenie czterech kadencji Franklina Delano Roosevelta doprowadziło do formalnej kodyfikacji zasady dwóch kadencji, która stała się fundamentem amerykańskiej

rotacji władzy. To nie był jedynie redakcyjny kaprys powojennych elit, lecz przemyślana odpowiedź na lęk przed nadmiernym, niemal monarchicznym przedłużeniem władzy wykonawczej w rękach jednego człowieka. Duch poprawki był z założenia antypersonalistyczny i antyoligarchiczny, dążąc do minimalizowania zjawiska renty personalnej, czyli praktyki długoterminowego zawłaszczania aparatu państwa przez jedną osobę. Nawet jeśli język prawny nie domknął wszystkich przyszłych kazusów z aptekarską doskonałością, to intencja ochrony bezstronności instytucji pozostaje czytelna dla każdego uważnego obserwatora. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, dlatego źródłowa teza, że konflikt tekstu i intencji trzeba brać serio, zasługuje na rzetelną obronę.

Zbyt wielu współczesnych komentatorów chciałoby rozwiązać ten palący problem za pomocą moralnego odruchu, całkowicie rezygnując z pogłębionej analizy prawnej na rzecz emocji. Jedni twierdzą, że sama sugestia obejścia limitów jest skandalem, którego nie warto nawet badać, drudzy zaś zachowują się tak, jakby każda semantyczna szczelina automatycznie otwierała pełnoprawny kanał do władzy. Oba te stanowiska są intelektualnie zbyt wygodne i nie przystają do powagi wyzwania, przed którym stoi współczesna demokracja liberalna. Poważna analiza musi przyjąć trzy fakty naraz: trzeci wybór jest zakazany, ale potencjalna trzecia prezydentura przez sukcesję pozostaje kwestią sporną. Sam fakt istnienia tego sporu jest najlepszym dowodem, że konstytucja zostawiła miejsce, w którym polityczna ambicja może próbować negocjować granice ustroju.

National Constitution Center opisuje ten problem jako test odporności systemu, czyli analizę teoretycznych scenariuszy mającą na celu wykrycie słabych punktów państwa, odróżniając oczywistość zakazu trzeciego startu od debaty o służbie poza dwiema kadencjami. Najbardziej wybuchowy punkt tej prawniczej układanki leży w relacji między 22. a 12. poprawką, czyli przepisem określającym, że osoba niezdolna do sprawowania urzędu prezydenta nie może zostać wiceprezydentem. To właśnie tam pojawia się kluczowe pytanie, czy osoba objęta zakazem ponownego wyboru jest zarazem konstytucyjnie niekwalifikowalna do urzędu w sensie, który zamyka jej drogę do wiceprezydentury. Jeśli interpretacja 12. poprawki nakaże uznać taką osobę za niezdolną do sprawowania urzędu, wariant sukcesyjny przez fotel zastępcy zostanie ostatecznie zablokowany. Jeśli jednak przyjmiemy wykładnię literalną, napięcie między duchem a literą prawa będzie trwać, bowiem polityka uwielbia szczeliny w murze bardziej niż same bramy.

Erozja normy: Dlaczego limit kadencji wymaga uszczelnienia

Istnieją w prawie konstytucyjnym takie miejsca, w których jedno słowo waży więcej niż cała orkiestra komentarzy, a interpretacja pozornie technicznego zapisu decyduje o losach ustroju. Congress.gov wyraźnie sygnalizuje, że właściwe odczytanie 12. poprawki, czyli przepisu określającego, iż osoba niezdolna do sprawowania urzędu prezydenta nie może zostać wiceprezydentem, ma tu znaczenie absolutnie kluczowe. Oznacza to, iż nie analizujemy egzotycznego marginesu teorii prawa, lecz realny problem interpretacyjny ukryty w samym wnętrzu konstytucyjnego mechanizmu sukcesji. Ustrój amerykański nie jest w tej materii w pełni niemy, ale nie przemawia też głosem tak jednoznacznym, jak lubi twierdzić dzisiejsza publicystyczna pewność siebie. Oczywistość jest często pierwszym schronieniem intelektualnego lenistwa, szczególnie gdy stawką jest najwyższy urząd w państwie. Do tego dochodzi wymiar stricte polityczny, który w ostatnich latach przestał być czystą abstrakcją i stał się elementem realnej gry o władzę.

Agencja Reuters odnotowała, że w marcu 2025 roku Donald Trump publicznie deklarował, iż nie żartuje w sprawie ewentualnej trzeciej kadencji, i sugerował istnienie metod prowadzących do takiego rezultatu. Działo się to mimo faktu, że sama konstytucja zasadniczo mu na to nie pozwala, co tworzyło swoisty dysonans poznawczy w debacie publicznej. Równocześnie w styczniu 2025 roku kongresman Andy Ogles zaproponował poprawkę do konstytucji, która miałaby dopuścić trzeci wybór w ściśle określonych warunkach politycznych. Jesienią tego samego roku Reuters relacjonował już późniejsze wypowiedzi Trumpa, w których przyznawał on, że konstytucyjne ograniczenie go wiąże. Stwierdził wówczas, że możliwa droga powrotu przez urząd wiceprezydenta jest zbyt sprytna, by traktować ją z należytą powagą. Sam fakt wystąpienia tej retorycznej sinusoidy jest z punktu widzenia politologii niezwykle pouczający i wart głębszej analizy.

Granice ustroju były testowane z dużą intensywnością, a następnie częściowo odwoływane, lecz ślad po tym teście w świadomości społecznej pozostał. W kategoriach ekonomii instytucjonalnej oznacza to proces o bardzo prostym, choć niszczycielskim mechanizmie. Kiedy reguła staje się przedmiotem seryjnego testowania, drastycznie maleje jej wartość odstraszająca i prestiż w oczach opinii publicznej. Nie trzeba od razu skutecznie obejść konstytucji, aby realnie osłabić jej fundamenty i znaczenie dla stabilności państwa. Wystarczy przyzwyczaić aktorów politycznych oraz opinię publiczną do myśli, że ograniczenie jest może twarde, ale jednak w pewnych warunkach dyskusyjne. Można odnieść wrażenie, że zasada jest obowiązująca, ale jednak negocjowalna i zależna od tego, kto akurat dzierży polityczny megafon.

Tak właśnie pracuje erozja normy, która nie przypomina gwałtownego wybuchu, lecz raczej powolną, lecz nieubłaganą inflację wartości. Każde kolejne publiczne sondowanie wytrzymałości systemu zmniejsza prestiż zasady, nawet jeśli formalnie nie zostaje ona w danym momencie uchylona. To dlatego limit kadencji jest czymś znacznie więcej niż tylko technicznym zapisem w starym dokumencie. Stanowi on kluczowy bezpiecznik przeciwko politycznej monopolizacji czasu, która zawsze zagraża wolnościom obywatelskim w systemach demokratycznych. Z perspektywy antropologii politycznej stawka tego sporu jest jeszcze większa niż tylko litera prawa. Republika istnieje bowiem nie tylko wtedy, gdy procedury są zapisane, lecz przede wszystkim wtedy, gdy obywatele wierzą, że nikt nie jest ważniejszy od procedury.

Cała amerykańska tradycja, od dobrowolnego odejścia Washingtona po powojenne skodyfikowanie limitów, mówiła właśnie to. Rotacja na najwyższym stanowisku w państwie nie jest biurokratyczną fanaberią, lecz fundamentalnym elementem ustroju. Jest to swoisty świecki rytuał odczarowania władzy, przypominający wspólnocie, że urząd nie ma i nigdy nie może mieć właściciela. Państwo nie jest narzędziem służącym do przedłużania jednej biografii politycznej, lecz wspólnym dobrem wszystkich obywateli bez wyjątku. W tym sensie każdy język niezastąpioności uderza w samo serce republikańskiej kultury ograniczenia. Kultura polityczna, czyli zbiór niepisanych zasad i norm wstydu regulujących zachowania, cierpi najbardziej na takich próbach sił.

Właśnie dlatego spór o 22. poprawkę, czyli przepis ograniczający możliwość wyboru na urząd prezydenta do dwóch kadencji, nie jest tylko sporem technicznym. Jest to fundamentalny spór o to, czy Ameryka pozostaje republiką instytucji, czy coraz bardziej dryfuje ku demokracji wodzowskich wyjątków. W tym miejscu warto przywołać pewną przypowieść, która dobrze obrazuje mechanizm, o którym tutaj mowa. W pewnym mieście zbudowano niegdyś wieżę zegarową, aby każdy mieszkaniec wiedział dokładnie, kiedy kończy się dyżur strażnika. Przez długie lata nikt nie myślał o majstrowaniu przy mechanizmie zegara, bo wszyscy uznawali, że czas należy do miasta. Aż w końcu zjawił się strażnik tak głośny i charyzmatyczny, że część mieszkańców uznała, iż może warto nie przesuwać człowieka, tylko wskazówkę.

Jedni oburzyli się na sam pomysł, drudzy zaczęli debatować, czy wskazówka naprawdę pokazuje koniec dyżuru, czy tylko zmianę przy bramie. I właśnie wtedy okazało się, że największym niebezpieczeństwem nie jest sam strażnik, lecz wspólnota przyzwyczajona do myśli, że zegar może znaczyć mniej. W ustrojach wolnych najpierw pękają słowa, dopiero potem instytucje, a na końcu sama wiara w sens wspólnych reguł. Końcowy wniosek z tych rozważań musi być twardy i nie pozostawiać miejsca na zbędne złudzenia interpretacyjne. Jeżeli amerykańska wspólnota polityczna chce definitywnie zamknąć możliwość trzeciej prezydentury, nie wystarczy powoływać się na oczywisty sens historii ani na powszechne rozumienie obywateli.

To wszystko ma znaczenie, ale w sytuacji skrajnej polaryzacji nie zastępuje ono w żaden sposób jednoznacznego i precyzyjnego tekstu ustawy. Najbezpieczniejszym rozwiązaniem byłoby doprecyzowanie konstytucji tak, aby zakaz obejmował nie tylko ponowny wybór, lecz także samo sprawowanie urzędu ponad wskazany limit. Luka sukcesyjna, czyli potencjalna niespójność między zakazem wyboru a możliwością objęcia urzędu w drodze sukcesji, musi zostać trwale wyeliminowana. Bez tego każda kolejna epoka napięcia będzie wracała do tej samej szczeliny, która z czasem może stać się przepaścią. Szczeliny konstytucyjne mają bowiem dziwny zwyczaj wydawania się niewinnymi dokładnie przed tym, zanim ktoś spróbuje przeprowadzić przez nie całą epokę. Test odporności systemu, czyli analiza teoretycznych scenariuszy prawnych mająca na celu wykrycie słabych punktów, sugeruje, że czas na działanie jest właśnie teraz.

> Adaptacja prawa do realiów politycznych nie powinna być nigdy traktowana jako kreatywna interpretacja, lecz jako próba oswojenia ambicji, która nie zna granic. Pytanie o szczelność 22. poprawki to w rzeczywistości test na to, czy republika wierzy w trwałość własnych reguł, czy jedynie w charyzmę swoich liderów. Czy pozwolimy, by boczna kładka stała się głównym wejściem do władzy, czy może w końcu zrozumiemy, że w ustroju wolnym najpierw pękają słowa, a dopiero potem instytucje?

Inspiracje

[1] 

"Could President Trump Constitutionally Serve a Third Term?" Alan Dershowitz

Simon and Schuster | ISBN: 9781510787070

Alan Morton Dershowitz (ur. 1 września 1938 r.) to amerykański prawnik, wykładowca prawa i autor, znany z prac z zakresu prawa konstytucyjnego i karnego. Od 1964 r. do przejścia na emeryturę w 2013 r. był wykładowcą na Harvard Law School, gdzie w 1993 r. został mianowany profesorem prawa im. Felixa Frankfurtera. W swojej karierze Dershowitz brał udział w licznych głośnych sprawach sądowych, często broniąc niepopularnych klientów i walcząc o prawa obywatelskie. Jest płodnym pisarzem, autorem dziesiątek książek o tematyce prawnej, politycznej i społecznej. Absolwent Brooklyn College i Yale Law School, znany jest z wystąpień medialnych i publicznego komentowania ważnych debat prawnych w Stanach Zjednoczonych.

Alan Morton Dershowitz (born September 1, 1938) is an American lawyer, legal scholar, and author known for his work in constitutional and criminal law. He served on the faculty of Harvard Law School from 1964 until his retirement in 2013, where he was appointed the Felix Frankfurter Professor of Law in 1993. Throughout his career, Dershowitz has been involved in numerous high-profile legal cases, often defending unpopular clients and advocating for civil liberties. He is a prolific writer, having authored dozens of books on legal, political, and social issues. A graduate of Brooklyn College and Yale Law School, he is recognized for his media appearances and public commentary on significant legal debates in the United States.

Harvard Law School

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: fdef73b0-589b-4a3b-8762-17f880461010a